Nr. 14. Poznań, Niedziela 7go Kwietnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

Czas odnowić przedpłatę!

„Przegląd Poznański“ kosztuje kwartalnie na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i Austryi

3,75 mr.

w mieście Poznaniu, w ekspedycyi naszej, wraz z odnoszeniem do domu

3 mr.

we wszystkich innych krajach z przesyłką opaskową

4,00 mr.

„Przegląd Pozn.“ zapisany jest w księgach pocztowych Niemiec i Austryi pod lit. II. t. 86 a.

TRESC.

Nareszcie!

Nie minęły bez echa artykuły nasze w sprawie „ustawy przewrotowej“. Myślące społeczeństwo obudziło się z odrętwienia, i w ślad za nami wypowiedziały „Goniec“, „Orędownik“ i „Postęp“ swoje „*Caveant consules*“. Milczą tylko wielkie organy: „Dziennik“ i „Kuryer Pozn.“: — milczy stronnictwo „ładu i porządku“, upatrując dojrzałość obywatelską w sennem „*laisser faire*“, w uznaniu nieomylności „Koła polskiego“ i kwietyźmie ostrożnym. Rzecz dziwna, zaiste! W świętomarcińskich redakcyach mówią o Friedrichsruh, o Afryce, o Chinach i Hiszpanii, ale gdy na własnej ziemi zjawia się widmo reakcyi i w organizm narodowy wpija się boleśnie, — „ład i porządek“ chowa głowę w piasek, nie widzi upiorów, nie słyszy dzwonu, co bije na alarm. Milczy oczywiście również na komendę zakulisowych sterników komitet wyborczy miasta Poznania. Nie poruszamy tu kwestyi złożenia urzędów, nie krytykujemy beztaktu urągającego prawidłom życia politycznego, nie rozwodzimy żalów nad korporacyą wyborczą, która przed 5 miesiącami złożyła mandaty a dziś jeszcze trzyma je uporczywie, lękając się nowych ogłosić wyborów, — lecz wobec groźnego widma idącego ku nam z Berlina, przypominamy polskim komitetom całego zaboru jeden stale zaniedbywany obowiązek. Według naszej opinii działalność zaszczyconych zaufaniem ogółu komitetów nie ogranicza się na zadaniach administracyjnych, nie streszcza się w rozdzielaniu kartek agitacyjnych, w układaniu list kandydatów, w zbieraniu funduszów wyborczych i w grzmiącym okrzyku: „Obywatele! Do urny wyborczej!“ — lecz działalność ta zawierać powinna kontrolę palących spraw politycznych i zasięganie opinii społeczeństwa w spornych kwestyach życia publicznego. Im więcej zebrań, im więcej dyskusyi, tem bujniej rozkwita dojrzałość polityczna narodu, tem sumienniej posłowie nasi w sejmie i parlamencie liczą się z szeroką rzeszą wyborców. Jako wzór godny naśladowania świecą nam komitety niemieckie. Czy projekt wojskowy, czy reforma podatkowa, czy wniosek Kanitza, czy ustawa przewrotowa, — zawsze tam pobudka komitetów odzywa się głośno, a za nią głos ludu, jego rezolucye i postulaty. U nas cisza. Zaledwie raz na lat kilka zjedzie poseł z sprawozdaniem swojem, — po za tem sen i milczenie.

Wobec tego dziwić się nie można, że pojawiła się w pewnych kołach społeczeństwa myśl, aby wbrew utartym zwyczajom zwołać bez sankcyi komitetu, pod kierunkiem osób zaufanych zebranie publiczne w sprawie ustawy przewrotowej i naszego stanowiska do reakcyjnych zakusów rządu niemieckiego. Ostatecznie jednak postanowiono nie zrywać jeszcze z tradycyą i zebrawszy przepisaną ustawami liczbę podpisów, wystósowano do komitetu żądanie, aby bezwłocznie zaprosił wyborców na walną naradę w sprawie niebezpiecznego projektu i złożył definitywnie mandaty swoje w ręce nowego komitetu. Nie wątpimy, że na tej drodze *przymusowej* doczekamy się wreszcie naprawy mętnych stosunków poznańskich i rezolucyi, służącej Kołu polskiemu za dyrektywę w sprawie „ustawy przewrotowej“. Wyrażamy również nadzieję, że nasi zwolennicy polityczni na prowincyi, postarają się za przykładem Poznania o zamanifestowanie publiczne stanowiska swego w sprawie rządowego zamachu na swobody obywatelskie, a chociaż Koło polskie lubi paraliżować rezolucye wyborców swoich stereotypową piosenką, że z daleka sądzić nie można o „polityce berlińskiej“, to w tym wypadku, gdzie wstecznictwo groźne odsłania oblicze i wyciąga ręce, aby zdusić wolność, — żadne „targi zakulisowe“, żadne obietnice ułudne, żadne konstelacye frakcyjne w postanowieniach naszych zachwiać nas nie mogą. Są pewne sprawy, któremi handlu prowadzić nie wolno, są pewne projekty, w których żadne uboczne względy roli grać nie powinny, są pewne sytuacye, których rozwiązanie nie jest monopolem ludzi czerpiących informacye swoje „u samego źródła“. Tu wszystkie względy ustąpić muszą, — ustąpić powinny tembardziej, że nadzieje względów tronowych w dym się rozwiały, a doświadczenie mówi społeczeństwu o bezpłodności zakulisowych kompromisów i — „obiecankach-cacankach“.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

Gczeta Toruńska pisze w Nr. 72.:

„Honor każdej jednostki w państwie cieszy się opieką prawa a więc nie wolno lżyć nawet największego prostaka ani biedaka. Obrazę podrzędnych urzędniczków przedstawiają prokuratorowie jako niesłychaną zbrodnię a sąd karze ją bardzo ostro. Karaną jest także każda obraza, wymierzona przeciw zbiorowym władzom i korporacyom. Prokurator wkracza jednakże tylko na wniosek obrażonych.

Od soboty liczne pisma niemieckie w każdym numerze obrażają parlament niemiecki w ohydny sposób. Ciekawi jesteśmy, ilu prokuratorów zgłosi się do parlamentu o upoważnienie do ścigania winnych redaktorów. Jesteśmy pewni, że reprezentacya narodu nie mniejszą się będzie cieszyła opieką, niż honor stróżów nocnych i innych najniższych kółek w machinie biurokratycznej“.

Ta pewność *Gazety Toruńskiej* wydaje nam się mocno podejrzaną w obec prądów antikonstytucyjnych, wiejących obecnie w górnych sferach. Wie o nich również dziennik powyższy, bo w Nr. 75 tak pisze:

„Po znanym telegramie cesarskim do księcia Bismarcka wyraziliśmy obawę, że niektóre stronnictwa przeć będą do naruszenia konstytucyi cesarstwa. Obawa nasza niestety spełniła się rychło. Oto w pruskiej Izbie panów wystąpił hr. Mirbach i powiedział między innemi, co następuje:

„We wszystkich (???) obwodach wiejskich a także w wielu innych powitanoby to z wielką radością, gdyby sprzymierzeni monarchowie zdecydowali się powołać do życia nowy parlament na podstawie nowej ustawy wyborczej i to niezwłocznie.“

Gdyby p. hrabia z podobnem wezwaniem wystąpił nie w ciele ustawodawczem tylko na publicznem zebraniu lub w gazecie, podlegałby na mocy § 85 kodeksu karnego karze cuchthauzu lub fortecy aż do lat dziesięciu. Wzywa bowiem do zdrady stanu w myśl § 81. ustępu 2. k. k., za który to czyn grozi kara dożywotniego cuchthauzu lub fortecy.

Naszem zdaniem nie może być mowy o tem, żeby parlament kiedy uchwalił zniesienie powszechnego głosowania, bo nie tylko lud do niego przywiązany lecz także sfery inteligentne nie chętnieby się zdały na łaskę i nie łaskę kapitału. Gdyby zaś chciano gwałtem obalić konstytucyę to wszyscy uczciwi obywatele — bez względu na stronnictwa — bronić jej będą do ostatniej kropli krwi i do ostatniego tchnienia.“

Gazeta Gdańska donosi w Nr. 39:

„Niejaki p. M. Krahn z Kilp zanosi w ogłoszeniu „Geselligera“ z dnia 26 bm. błagalne prośby do wszystkich czcicieli bismarkowskich mieszkających na Powiślu, ażeby w przeddzień urodzin „warcińskiego pustelnika“ — słuchajcie! — zapalić „Freudenfeuery“ nad brzegami Wisły od rosyjskiej granicy począwszy aż do Gdańska. Przekonany jest zarazem, że na tak małe ofiary zdobędzie się zamieszkała ludność nad Wisłą.

Jeśli bismarczycy mają pełne worki pieniędzy, mogą sobie ognie palić nad Wisłą. Wisła nasza cierpliwa i przez to ani mniej ani więcej „urdeutsch“ nie będzie, jak nigdy nią nie była. Zresztą palące się beczki od smoły mogą się przyczynić do stajania nieco lodu na Wiśle, przez co polska Wisła prędzej wyzwoli się z okowów.... „Wisło moja, Wisło stara, co tak smutnie płyniesz!....“

Orędownik w cyklu artykułów p. t. „Po szlachcie chłop polski“ takie wypowiada poglądy:

„Gdyby się miały ziścić życzenia p. Tiedemanna, co nie daj Boże, to pewną jest rzeczą, że nasi drobni posiedziciele ziemscy tak samo jak szlachta sprzedawaliby gospodarstwa wiejskie na Kolonizacyą. Chłopi polscy nie byliby lepsi od szlachty i pod naciskiem biedy i konieczności sprzedawaliby „świętą ziemię polską“ za pruskie srebrniki równie jak szlachta. Pod tym względem nie ma się wcale co łudzić.

Za to pozycya gospodarzy wiejskich jest daleko mocniejsza i obronniejsza od pozycyi szlachty na wsi. Szlachta nie znała się w części na gospodarowaniu i nie pilnowała gospodarstwa. Chłop polski — nawet podług świadectwa p. Tiedemanna — zna się dziś dobrze na warsztacie rolnym, pilnuje gospodarstwa, a pod względem trzeźwości, pracowitości, inteligencyi stoi na równi z chłopem niemieckim. Pan Tiedemann z całą otwartością wypowiedział w sejmie, że właśnie przez tę pracowitość i inteligencyę gospodarz polski ruguje dziś gospodarza niemieckiego z jego siedziby; gospodarz niemiecki ciągnie w głąb Niemiec, a gospodarz polski zostaje na miejscu. To samo widzimy u rzemieślnika, a jeszcze więcej u robotnika polskiego, który także wypiera robotnika niemieckiego.

Pozycya chłopa polskiego jest więc bez porównania korzystniejsza od pozycyi szlachty naszej i teraz chodziłoby właśnie o to, żebyśmy jako społeczeństwo prowadzili mądrą politykę domową, żebyśmy się nie dawali zwodzić złudzeniom polityki szlacheckiej, która wszystkie stosunki naszego życia opanowała i przez to osłabia w szerokich naszych warstwach średnich zdolność obrony i ognisk domowych i całego społeczeństwa.“

Dalej zaś tak się wyraża *Orędownik* z swoją zwykłą, często zdrową, ale częściej j e d n o s t r o n n ą trzeźwością:

„Doświadczenie z polityką szlachecką uczy nas: że nie walka o zdobycie przynależnych nam praw narodowych, ale walka o byt materyalny a w konsekwencyi o byt socyalny narodowy — powinna stać na pierwszym punkcie polskiej polityki narodowej w zaborze pruskim. To brzmi wprawdzie troszkę pospoliciej, wcale nie idealnie, jak wyłocone hasła polityki szlacheckiej, ale za to daje zupełnie inną rękojmię zabezpieczenia ideałów narodowych!

Stojąc mocno materyalnie i socyalnie — wyraźnie powtarzamy: socyalnie — możemy się nawet obejść bez praw zagwarantowanych w traktatach i bez równouprawnienia należącego nam się z konstytucyi. To brzmi jeszcze pospoliciej, wcale nie idealnie, to brzmi nawet coś jak „zdrada“ ideałów narodowych. Co to jednak szkodzi, kiedy społeczeństwo nasze przy wzmocnieniu się materyalnem i socyalnem — tem samem będzie miało zabezpieczony byt narodowy, a z nim i ideały narodowe!

Postawienie w programie naszej polityki narodowej walki z rządem o prawa narodowe w tyle po za walką o byt materyalny i socyalny, to wcale nie zrzeczenie się praw narodowych, to nie „zdrada narodowych ideałów“, to nie „odstępstwo“ od idei narodowej, — to tylko zmiana taktyki, to tylko obrachunek polityczny:

żeby zabezpieczyć sobie istnienie socyalne i przez to zyskać podstawę do rozpięcia na niej ideałów narodowych;

żeby ideały narodowe żyły w nas, z łaski naszej, wbrew systemowi pruskiemu.

Tak trzeba nam ustawić naszą polską politykę narodową, a wtedy pójdziemy do walki przynajmniej przygotowani, w jakimś rozsądnym szyku, a nie tak na oślep, jak nas dotąd pędzi, jakby na rzeź, tradycyjna polityka szlachecka.

Organa szlacheckie dziś jeszcze podnoszą hałaśliwą wrzawę o lada kłak polityczny, na który nie warto okiem rzucić, a my wszyscy unosimy się nad tem. Skutki tego pokazują się dość często wśród tych kół warstw średnich, które żywcem przejmują w siebie pojęcia szlacheckie o naszych stósunkach, nawet wtedy, kiedy szumnie przeciw tym pojęciom po swojemu występują. Tym panom, mianowicie z stanu mieszczańskiego, lada frazes starczy, by w świętem uniesieniu deklamować o obronie ideałów narodowych, i nikt z nich — przy wielkich pretensyach do wpływów publicznych, — nie czuje nawet potrzeby, by sobie zdać sumienną sprawę z patryotycznych frazesów. „Żeby pokazać!“ — „szponem wrogowi!“ — i jak tam jeszcze te hasła brzmią, — powtarzają dęby dębom, bukom buki i to głównie w kołach ludzi z pretensyą do wpływów publicznych.“

Pod nagłówkiem „I to miałby być Polak!“ tak pisze *Gazeta Grudziądzka* w Nr. 40:

W pruskiej izbie panów stawiło 30 członków, a między nimi książę Antoni Radziwiłł, — wniosek o umieszczenie marmurowego biustu Bismarcka na sali posiedzeń.

Nie możemy się owym 29-ciu członkom izby panów, noszącym nazwiska niemieckie, tak bardzo dziwić, że podobny wniosek stawili, ponieważ najrozmaitsze objawy nawet kołowacizny na punkcie objawiania Bismarckowi bałwochwalczej czci obecnie są na porządku dziennym, lecz nie tylko dziwić się musimy, ale dać wyraz najgłębszemu oburzeniu, że człowiek noszący nazwisko Radziwiłłów, nie wahał się takim czynem splamić to i tak już w dziejach przeszłości naszego narodu nie bardzo zaszczytnie zapisane nazwisko! Inni członkowie rodziny Radziwiłłów starają się przynajmniej obecnie przez dzielną obronę najświętszych praw naszych wymazać lub też pogrążyć w zapomnieniu winy swych przodków wobec ojczyzny naszej, tylko książę Antoni widocznie nie odczuwa tej potrzeby, albo zapomniał, ile łez polskich płynęło z powodu Bismarcka, ile krwawych, jak otchłań głębokich ran, których czas nigdy przenigdy nie zabliźni, ten bożek naszych wrogów żelaznymi pazurami sercom polskim zadał! A jeżeli pod tym względem księciu Antoniemu pamięć dopisuje, to chyba wymarło w sercu jego wszelkie czucie dla spraw polskich, serce jego wystygło, stało się obcem dla narodu jego przodków niepolskiem — —! Wolimy, aby się książę Antoni nie przyznawał do polskości, bo będąc Polakiem i podpisując wyżej wspomniany wniosek, byłby — potworem!

Przegląd prasy słowiańskiej.

Narodni Listy, oceniając słusznie pseudoliberalizm niemiecki, a w szczególności liberałów austryackich, tak piszą:

My Czesi mimo to, że bój narodowościowy tworzy się u nas z zajadłością bezprzykładną, że nas walka o utrzymanie bytu narodowego w znacznej części pochłania, ani na chwilę nie ustaliśmy w obronie ideałów drogich człowieczeństwu, ideałów równości i braterstwa ludów.

„To, co niedawno temu w imieniu naszem wypowiedział w parlamencie poseł Eim, dosadnie charakteryzując liberalizm niemiecki, ubodło naszych Niemców do żywego. W parlamencie zapanowała po mowie posła cisza, nikt się nie odważył zbijać wywodów czeskiego posła, który przypomniał w pamięci konserwatystów to, czego uczą rewolucya francuska i inne.

„Epigonowie Giskrów i Mühlfeldów, członkowie lewicy milczeli również, dopiero przy innej sposobności imieniem lewicy odpowiedział jeden z jej mowców najlepszych, *Dr. Menger*:

„To, co imieniem liberałów niemieckich powiedział, streszcza się mniej więcej w tem:

„Nas Niemców jest w Cislitawii tylko 8 milionów, Słowian 14. Gdyby Niemcy na głosowanie powszechne przystali, wówczas pozostaliby w mniejszości nie nieznaczącej. Do takiej ofiary liberalizm doprowadzić ich nie może.“

Dalej mówił Menger, że Czesi za prawem powszechnem występują nie dla ideałów ogólnoludzkich, ale dlatego, żeby ich naród większe osięgnął korzyści.

Deputowany niemiecki nie wie więc nic o tem, że posłowie czescy już w roku 1871 wystąpili z projektem ustawy, według której miały być zabezpieczone prawa narodowościowe, nie wie również i o tem, że Dr. Karol Śladkowski już przed 20 laty żądał ustawy zabezpieczającej mniejszości parlamentarne....“

* *

Srpska Zastava występuje przeciw nowemu rozporządzeniu rządu madziarskiego, zmierzającego ku ukróceniu wolności kościoła prawosławnego serbskiego:

„Madziarzy wiedzą o tem dobrze, jaką potęgą jest w obronie naszych interesów narodowych kościół prawosławny. Dotąd mieliśmy za-

---

JAROGNIEW.

Chora miłość.

(Ciąg dalszy.)

Coś mnie wyraźnie otaczało, jakiś duch był w koło mnie i szeptał mi do ucha, donosząc do mnie, jakby echem zaklętem, oderwane dźwięki jej głosu, jej śpiewu; przed oczyma migotały blaski jaskrawe i światełka różnobarwne.

Pamiętam, jak zerwałem się potem i światła zapalać zacząłem. Chciałem się uwolnić jak najszybciej, jak najprędzej, koniecznie od tych mar łudzących i pozapalałem wszystkie lampy i świece w kandelabrach, aby mieć jak największej jasności. A gdy w pokoju aż łuny biły i światła o lepsze walczyły ze sobą, było mi, jakbym się doprawdy ze snu głębokiego obudził.

Gdy stanąłem potem tu na środku pokoju i rozejrzałem się wkoło, mając jeszcze w słuchu podrażnionym, jakby muzyki echo, — wtedy miałem cudne, cudne, urocze złudzenie. — Przypomniała mi się noc jedna z moich lat dziecinnych. Pamiętam, raz na Boże Narodzenie zabrała mnie matka na pasterkę do wiejskiego kościoła. Tak samo jasno było wtedy w kaplicy, śpiew dziecinny słyszałem z chóru, i widzę dotąd jeszcze księdza w bieli przed ołtarzem.

I połączyło się potem wspomnienie jej postaci i owe z lat dziecinnych przypomnienie, jakby w jedną, anielską całość, i było mi tak miękko na sercu, tak miękko, że zapłakaćbym mógł gorącemi łzami.

Stają mi te uczucia tak wyraźnie w pamięci, że mimowoli budzi się we mnie teraz jakby ich odbicie, i tak mi smutno, tak mi anielsko smutno w tej chwili, — że niech to wszyscy djabli wezmą.

Pragnąłbym się roztysiącznić, rozpaść, roztopić w żalu: a smutek ten rzewny koi mnie coraz bardziej, i nie wiem, ale może przyjdzie jeszcze chwila, w której dobrze mi z nim będzie, jak z pamiątką lub natchnieniem.

Trę czuprynę czarną, aby dodać sobie energii i męskości, i nie mogę, no nie mogę, — coś mnie rozbiera, zupełnie obezwładnia.

A jaki ja wtedy byłem miękki i słaby, — Boże wielki, gdy sobie przypomnę, to wierzyć mi się nie chce, przecież niby mam coś brutalnego i szorstkiego w sobie. A to wszystko ten śpiew, jej śpiew sprawił. Całą noc spędziłem bezsennie, coś mnie wyraźnie podrywało i parło do niej, i nie wytrzymałem, jeszcze rano, może o dziesiątej godzinie, już byłem u niej.

Pokojówka wpuściła mnie do salonu i kazała czekać, — pani jeszcze się ubierała.

Wbiegłem do pokoju, a gdy mnie zapach perfum jej doleciał, zacząłem znowu się rozmarzać. Więc to tu, tu miałem być wczoraj tak szczęśliwym? Czy to nie sen, czy to tylko nie sen? — Usiadłem i czekałem; otoczenie zaczęło znowu wywoływać we mnie wczorajsze wspomnienia, ale tak jakoś dziwnie. — Wrażenia przy niej doznane i w nocy przebyte mięszały się jakoś w mojej pamięci, nie wiedząc zkąd przypomniałem sobie noc ową, spędzoną z matką w kościele, i nie zdając sobie sprawy jeszcze, zasiadłem do fortepianu i grać zacząłem, jakby echo moich wspomnień, jakby myśli mych odbicie, jedyną pieśń kościelną, którą umiałem: „Stabat Mater“ Rossiniego.

Ta melodya tak płynęła, jak ze serca mego, rumieńce wystąpiły mi na twarz, i grałem wolno, jakby nie ręce me tylko grały, ale i dusza z niemi, a cała moja istota wtórowała. Kilka akordów już przebrzmiało, — w tem doleciał mnie przyciszony lekki wtór. Brzmiało to, jakby organy dalekie zagrały cichutko, jakby w lesie młodych drzew konary zaszumiały pieśnią, a chór aniołów przyśpiewywał z góry.

Brzmiało to, że oczy przymknąłem i, grając prawie bezwiednie, oddałem się zupełnie tej pieśni, która mnie unosiła lekko, jak fala w strumieniu. Było to, jakby dokończeniem marzeń mych nocnych, — jakby snu uzupełnieniem na jawie, a tak wnikało mi do duszy, że każda cząstka jej była wsłuchana, zaczarowana. Podniosła się ciężka portyera we drzwiach i stanęła ona na progu, w żółtym szlafroczku, pieśń nie zamarła jeszcze na jej ustach.

Gdy ujrzałem ją przed sobą znowu za białego dnia, tchnącą życiem, prawdziwą, myślałem, że serce wyskoczy mi z piersi, — to ona więc złota, żywa, — ona! — Przestałem grać rzuciłem pieśń, — tylko pobiegłem do niej i chwy-

gwarantowaną ustawami autonomię Kościoła. Dziś rząd poczyna się do spraw wewnętrznych mięszać i duchowieństwo dozorować.

Wielkie oburzenie wśród obywatelstwa serbskiego wywołała wiadomość, że rząd madziarski wydał rozporządzenie, aby nie dopuszczano duchowieństwa prawosławnego do kongresów, podczas których poruszano różne ważne kwestye.

„Oburzenie na ten nowy zamach na autonomią Kościoła jest całkiem zrozumiałe, gdyż każdy z nas wie, iż ostatnim i jedynym naszym wałem ochronnym był Kościół, niezależny od rządu....“

* * *

Główny organ czeskiej Omladiny, socyalistyczne *Radikalni Listy* tak charakteryzują politykę rządu austryackiego:

„Przewodnią myślą państwowej polityki austryackiej jest ta fałszywa zasada, polegająca na niezrozumieniu przyrodzonego procesu ewolucyjnego o ciągłym rozwoju socyalnym i politycznym narodów, klas, jednostek i decentralizacyi.

Przypatrzmy się przeszłości Austryi, a ujrzymy, że wszystką swą moc wytężał rząd, aby pozbawiać samodzielności swoje ludy; dla potrzeb socyalnych i narodowych ludów brak mu było zawsze zrozumienia. Nie jesteśmy dziećmi świata starożytnego, na nasz ruch pada atoli zawsze cień przesądów wieków przeszłych, duch dynastyczny i militarny. Jesteśmy pod jarzmem tradycyi przestarzałych, które w ostrem stoją przeciwieństwie do potrzeb ludowych doby dzisiejszej. Wiedzie u nas walkę prąd hierarchii kościelnej, urzędniczej, wojskowej i szlacheckiej przeciw poglądom nowożytnym, — ciężki, stary mechanizm martwy przeciw żywemu i rosnącemu organizmowi idei ludowych, socyalnych.

„Wielkich akcyi reformujących, postępowych nowożytne dzieje Austryi nie znają. Za najlepszych ministrów w Austryi uważają tych, którzy zdołali wyrafinowanym sposobem wzmocnić pęta stare, gniotące wolność i rozwój.

„W miejsce koalicyi czysto szlacheckiej mamy dziś koalicyę kapitalistyczną, pieniężną.

„Obecny ruch w społeczeństwie czeskiem jest ruchem przyrodzonym, a nieszczęśliwą, fatalną w skutkach jest taktyka dążąca do „pacyfikacyi“, chcąca ten rozwój naturalny zniszczyć.

„Dziś poznaliśmy, że kwestya czeska nie jest wyłącznie kwestyą językową, ale jest kwestyą socyalną i kulturną.

„Rząd chce w kraju naszym utrzymać porządek, ale ten porządek pojmuje w swój sposób. I my chcemy porządku, ale porządku rzeczy w naszem mniemaniu sprawiedliwego.

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Liście jesienne.

Nim mgły poranne, zanim zimne szrony
Ostatki wdowiej krasy ci zabiorą,
Nim się rozwieją drzew twoich korony,
Lubię cię, roku najsmutniejsza poro!

Bo jako posąg niezmiernej boleści
Stoisz przedemną, blady dniu jesieni,
Z wieńcem na głowie, którym wiatr szeleści,
Z orszakiem mgławic, z słońcem — bez promieni.

I cierpię z tobą, kiedy wicher jary
Z tryumfu pieśnią targa twoje włosy,
A ty, bezbronna, nagich drzew konary
Z szałem rozpaczy podnosisz w niebiosy.

I kiedy słucham tych wietrzanych pieśni,
I kiedy patrzę, jak padają liście,
O nowem szczęściu smutna dusza nie śni,
Nie wierzy serce w nowej wiosny przyjście.

W jakąś ogromną harmonię się zlewa
Jęk mego wnętrza i ten szum wichrowy,
I traw szelesty i liści ulewa
I jasne kwiaty — z powisłemi głowy.

I jest mi dobrze jako posągowi,
Co na cmentarzu drogie szczątki gniecie,
Grobowe dźwięki ucho moje łowi —
I jest mi błogo na tym pustym świecie.

Poznań. 95. *St.*

Z SERYI TRZECIEJ.

I.
EKSTAZA.

Nie widzę, słucham cię oczyma, biała!
Nagości twojej linie i kolory
W hymn mi się jeden łączą różnowzory,
W muzykę kształtu, w pieśń twojego ciała.

Melodyą jesteś i harmonią cała!
Rzucona kędyś w dalekie przestwory,
Jako przelotne świecisz meteory —
Pieśń twej piękności promienieje, pała.

Komu się zjawisz taka, pójdzie dalej
Z twarzą od świata odwróconą, senną —
Jak ci rzeźbiarze, co Wenus promienną

Niegdyś w paryjskim marmurze kowali,
Chodzili cisi, senni między ludem —
Oni widzieli cud i żyli cudem.

II.
SYMBOL.

Noc na wód cichem, bezbrzeżnem pustkowiu.
Przez nieruchome ciemnych chmur tumany
Na fale księżyc prześwieca miedziany
Wśród gwiazd, o blasku przygasłym ołowiu.

Wicher z poświstem, jak w gęstem sitowiu,
Pełza po wody powierzchni rozchwianej,
I, zda się, wlecze senne oceany
Ku nagich, skalnych wybrzeży wezgłowiu.

Na głębi głuchej, ciemnej i bezkresnej
W mglistym księżyca blasku się kołysze
Krzyż — na nim Chrystus rozpięty bolesny.

Gdzieś w nieskończoność, w nieprzebraną ciszę,
W niezmierną pustkę płynie przez odmęty
Krzyż — na nim Chrystus bolesny rozpięty.

Heidelberg. 95.

Kazimierz Tetmajer.

Curiosum historyczne.

(St. Tarnowski: Nasze dzieje w ostatnich stu latach).

Stanisław Tarnowski — dostojny prezes Akademii Umiejętności, wyświadczył „istne dobrodziejstwo powszechności czytelników polskich“, — tak przynajmniej twierdzi w ekstazie uwielbienia felietonista „Dziennika Poznańskiego.“

Dobrodziejstwa pisarza tego są mniej więcej znane polskim czytelnikom i słuchaczom jego odczytów. Podaje je on w pięknej, rzeźbionej, drobiazgowo cyzelowanej formie, przypominającej stylem filigranowe ozdoby pańskich salonów. Nikt też zapewne nie zapomniał jeszcze *„złotych myśli i zdrowych rad“* udzielanych społeczeństwu w zbiorze *„doświadczeń i rozmyślań*, które doprowadziły autora między innemi do wniosku, iż uboga nasza i tysiącami klęskami wycieńczona ojczyzna powinna rywalizować z bogatą Francyą w ofiarności na świętopietrze, a zadłużeni i zboże na pniu sprzedający rodacy za obowiązek swój uważać mają utrzymywanie tradycyi pięknych manier i światowej ogłady na zagranicznych dworach.

Tym razem dźwięczny głos hrabiego — profesora przemawia do ludu i to do ludu z pod austryackiego zaboru, jednakże, jak zaręcza wspomniany felietonista, czytelnicy z innych dzielnic Polski i z innych warstw społeczeństwa niemniej rzetelną korzyść z książeczki onej wynieść mogą. — Jest ona podobno nietylko *dobra* lecz *„doskonała“*, a prócz tego *„miła i swojska“*, jest *„najczystszem ziarnem“* spadającem na niwę ojczystą, nowym zasiewem z którym *„autor ku nam zstępuje“* i t. p.

Po przeczytaniu tak gorących pochwał, każdy zapewnie z czytelników „Dziennika“ zechce rozpatrzyć bliżej owo najczystsze ziarno, a może ciekawym będzie również, z jakich to wyżyn niebotycznych „zstępuje“ ku nam autor krakowski. — Jeżeli jednak przy bliższem przyjrzeniu się sprawie ujrzy, że owo „ziarno“ jest makiem usypiającym, a owe „wyżyny“ wznoszą

---

ciłem jej ręce białe, pachnące świeżo po śnie i okrywać je zacząłem pocałunkami.

— Pani moja, — pani moja!

Ona uśmiechała się do mnie pobłażliwie i włosy me ręką gładziła, jakbym dzieckiem był. A gdy znowu tego dnia grać zaczęła, prosiłem ją na wszystko w świecie, aby owej aryi z „Trubadura“ więcej nie śpiewała, — wszystko inne, tylko nie tę pieśń, bo serce mi pęknie.

Siedziałem znowu u niej długo, i zaczęły się dla mnie dni rozkoszy, szału i jakiegoś upojenia, które mnie od ziemi odrywało i przytomność odbierało prawie.

Siadywała na otomance często, a ja u nóg jej klękałem i wpatrywałem się w oczy jej długo, które błyszczały ku mnie coraz to innym blaskiem. Rączki jej aksamitne w dłoniach tuliłem i tak mi było, jakbym za chwilę w mgłę rozwiać się miał u jej stóp, jakbym miał ducha wyzionąć lub rozpaść się na cząstek miliony, w pył u jej stóp. Gdy fala złota włosów spływała z ramienia jej na piersi, okryte zwojami koronek, wtedy budziły się we mnie gorączki jakieś, — domyślałem się, jak pierś ta uroczo falować musi pod tem okryciem swem, jakie blaski ogniste z niej promienieją. To znowu chwilami nie śmiałem myśleć o tej piękności jej ciała, bo taką wydała mi się świętą, oderwaną od ziemi.

Gdy tak u nóg jej leżałem, wtedy, z uśmiechem rzewnym na ustach, uwalniała rękę jednę z mojego uścisku i gładziła moją głowę. — To było wszystko, czego od niej doznałem, — to lekkie muśnięcie dłonią, z pod której rozchodziły się po całem ciele mem rozkoszne dreszcze.

O Ida, Ida, — gdy sobie to przypomnę, wyprężam się cały na otomance i zęby zacinam, o Ida, co ja dla ciebie wtedy cierpiałem w tych samotnych chwilach, albo leżąc u nóg twoich, jak niewolnik! Co się nieraz zemną działo, — szatanów wszystkich czułem w tej piersi, rozpartej pragnieniem i bólem i rozpaczą.

Jabym pragnął cię w takich chwilach półmartwą, leżącą w moich objęciach, — pragnąłbym czuć w twojem ciele tajone dreszcze, pragnąłbym widzieć w oczach twoich, na pół zawartych takie iskry, takie ognie, takie płomienie nieugaszone niczem, pocałunkiem ni pieszczotą... Ja chciałem, żebyś ty mnie tak kochała, jak kobieta kochać może, kochać pragnie, — a widziałem cię z tym pobłażliwym uśmiechem matki czy siostry starszej, gładzącą włosy moje dłonią miękką, ty święta, okrutnie spokojna! Zaciskałem zęby i nic mówić nie chciałem, bo mi żal było ranić cię słowem ostrzejszem.

Jabym cię mógł tak pochwycić w objęcia i tak przytulić do łona gorącego, — ale ten śpiew, ten śpiew twój robił ze mnie niewolnika, i padałem w proch przed tobą z żalu, że myśleć tak mogłem na chwilę, prawie jęcząc, prawie skomląc z bólu, że ciebie obraziłem pragnieniem.

To wydałaś mi się taką wpatrzoną w jakiś wzniosły widnokręg uczuć własnych i natchnień, że nie widziałaś chyba tej miłości we mnie i tego szału. Myślałem już, że w piersi twej serce z kamienia, które raz tylko otwarło się dla sztuki twojej

O Ida, Ida, twój uśmiech słoneczniejszy rozwiewał już te myśli moje i szamotania; — gdy marzyłem przy tobie, już wystarczało mi to za wszystko i wynagradzało moje cierpienia.

Nieraz, gdy wieczór już zapadł, siadała do fortepianu i lekko akompaniując śpiewała cichutko, a ja siadałem u nóg jej, głowę składałem na jej kolanach i śniłem. Czasem odjęła rękę od fortepianu, i pieściła mnie dłonią miękką, a śpiewała przytem, jakby mnie do snu utulić chciała, jak dziecię.

— Dobrze ci teraz? — mówiła raz do mnie, — ty jesteś taki biedny, — taki chory, a jabym cię tak pragnęła uleczyć.

Ja wiem, że byłem chorym, — ale słowa te jej koiły mój ból, i tak mi dobrze było wtedy przy niej.

Takie cudne miałem sny, — gdzież one się podziały! — Może doznam w życiu większej radości, potężniejszego uczucia, — ale ukojenia takiego, takiej ciszy łzawej, jakgdyby słońce

się ponad poziomy zdrowej logiki i ścisłej historycznej prawdy, — dziwić się nie powinien, — gdy przypomni sobie dawniejsze ziarna, które na nas z tejże samej wysokości spadały.

Pan Stanisław Tarnowski święci pokutną rocznicę stuletniej niewoli polskiej opowiadając ludowi treściwie porozbiorowe dzieje kraju. Nic nie można zarzucić temu sposobowi święcenia, owszem przyklasnąć by mu należało, gdyby prezes Akademii Umiejętności z zadania swego wywiązał się sumiennie, z należnem uszanowaniem dla historycznej prawdy, a ludowi do wierzenia podawał to, co istotnie na wiarę zasługuje. W takim razie praca jego, choć może nie dobrodziejstwem, byłaby przecież zasługą, gdyż do oświaty warstw niższych przyczynićby się mogła.

Celem książeczki jednak nie jest bynajmniej oświecanie umysłów, lecz wzbudzenie w nich wiary, że wszystko co *„starszyzna“* czyni, czyni dobrze i doskonale, że wszystko co się dzieje — dobrze się dzieje, że pokornie słuchać i bezczynnie czekać jest jedynym obowiązkiem obywatelskim, jakiego się od ogółu narodu wymaga. *Treściwość* opowiadania, którą autorowi krytyk, a raczej panegirysta z „Dziennika“ przyznaje, odnosić się może tylko do niektórych ustępów historyi, to jest do tych mianowicie, które się *autorowi* nie podobają. — Tak np. słusznie zupełnie uznać ją, a raczej zarzucić można w opowiadaniu dziejów ostatniego powstania. — Natomiast, gdzie o niej mowy nie ma, gdzie nawet pewna rozwlekłość razi czytelnika, to w opowiadaniu o życiu i zasługach dygnitarzy i hrabiów galicyjskich, którzy wysokie zajmowali stanowiska, a o których czasem sam autor więcej powiedzieć nie może jak to, że znali się na pracy, którą im powierzono. Być może, że w Galicyi, a może i w innych stronach kraju wyjątkiem jest hrabia lub książę posiadający kwalifikacye odpowiednie do swego zadania, lecz bądź co bądź zasługa tego rodzaju do wiekopomnych wypadkow historyi nie należy.

Metodę tę zrozumiemy, jeśli przypomnimy sobie, że dziełko przeznaczone jest dla galicyjskiego ludu, autor więc uważał za stosowne wzbudzić jaknajgłębszą cześć dla prowodyrów tamtejszego społeczeństwa i jaknajbezwzględniejszą wiarę w ich nieomylność. — To było właściwym celem jego pracy i tylko z tego punktu widzenia pewną konsekwencyą przyznać jej należy. — Po za tem głównem zadaniem, reszta tj. właściwe dzieje Polski w połączeniu z współczesną historyą Europy, — traktowane są tak lekko i niedbale, z taką dowolnością, z tak tendencyjnem naciąganiem faktów do powziętego z góry założenia, że istotnie, przyznać można słuszność twierdzeniu dziennikowego krytyka: „swojska ta książeczka uczy cierpliwości.“

Przypatrzmy się bliżej metodzie autora.

Opowiadanie swe rozpoczyna rozdziałem: „Po trzecim Maja“, w którym króciutko streszcza dzieje Targowicy, wojny z Rosyą, drugiego rozbioru i Kościuszkowskiego powstania.

W następnym zatytułowanym „Po trzecim rozbiorze“ mamy zaraz niezmiernie ciekawy opis rewolucyi francuzkiej. Czytamy tam na wstępie, że kiedy u nas pracował Sejm czteroletni, „we Francyi wzięto się do *podobnego* dzieła“. Podobieństwo to jednak ani w dwóch wyrazach zaznaczonem nie zostało. Wiemy dzięki autorowi, że u nas był zbytek wolności, we Francyi przeciwnie zbytek władzy; wiemy dalej, że poczciwy król Ludwik XVI chciał złemu zaradzić i zwołał Stany Generalne, czyli sejm, dalej jednak słyszymy tylko, jako ludzie przewrotni i burzliwi sejm ten opanowali, lud przeciw królowi buntowali, jak król z żoną i dziećmi uciekał, jak go potem schwycili i ścięli. — Czytamy jeszcze, co się stało z jego żoną i synem, czytamy o okrucieństwach, prześladowaniach, gilotynie, o walce z księżmi i Robespierze, — o bogini rozumu, zamykaniu kościołów i t. d. — o tem wreszcie, że Francuzi dzielnie bronili się od obcych wojsk, które przyjaciele i stronnicy króla na kraj naprowadzili. Najciemniejszy, byle zdrowym chłopskim rozumem obdarzony czytelnik za głowę się schwyci i zapyta: „Gdzie tu podobieństwo do Sejmu Czteroletniego?“ Rewolucya w opowiadaniu p. Tarnowskiego wygląda tak, jak gdyby była jednym wielkim i krwawym skandalem wymierzonym przeciw poczciwemu królowi, za to, że chciał poddanych do udziału w rządzie przypuścić.

Nie ma bowiem ani wzmianki o zniesieniu praw feodalnych, o ustanowieniu praw człowieka, o wszelkich reformach zamierzonych lub dokonanych przez naród, o równouprawnieniu stanów — nic, tylko mordy, gilotyna i okrucieństwa. Wedle słów Tarnowskiego całego ważnego i donosłego w dziejach przewrotu, który nową erę dla ludzkości rozpoczął, dokonali *burzliwi i przewrotni wichrzyciele.* — Z nazwą tą zresztą spotykamy się wciąż w tej książce, ile razy chodzi o jakikolwiek ruch ludów dobijających się wolności. Każde powstanie, każdą rewolucyą, czy u nas, czy w innych krajach, wywoływali wichrzyciele i burzyciele; koronowane głowy zaś albo zawsze miewały racyą, albo myliły się w dobrej wierze, albo też dawały się unieść naturalnemu zresztą rozdraźnieniu.

Do najciekawszych ustępów należy historya Królestwa kongresowego.

Cesarz Aleksander zrobił wiele dobrego dla Polski, gdyż „mógł ją zgubić, oddać na pastwę swym urzędnikom i wojskowym, a tego nie zrobił, tylko jakiś byt znośny nam zostawił“. Co do tego punktu wolno chyba mieć pewne wątpliwości. Królestwo polskie utworzył cesarz Aleksander nie z łaski, lecz pod naciskiem mocarstw obradujących w Wiedniu, z któremi liczyć się musiał i dla tego nie mógł Polski ani zgubić, ani na łup swym urzędnikom i wojskowym oddać. — My podobno „mieliśmy w ręku warunki i środki po temu, aby powoli rość w siłę i stać się na nowo wielkim narodem“, jednakże zaraz w następnem zdaniu czytamy, że „Królestwo kongresowe miało w sobie i koło siebie niebezpieczeństw tak wiele, że była rzecz prawie niepodobna, iżby mogło długo w spokoju ostać i trwać“. Jak tu jedno z drugiem pogodzić? Co nie może trwać, nie może ani rozwijać się, ani rość w siłę; — nawet lud galicyjski chyba na tej sprzeczności się pozna.

Epokę monarchicznej reakcyi po kongresie chwali Tarnowski twierdząc, że działo się nie źle, dopiero potem „zaczął się stan rzeczy w Europie psuć, gdy we Francyi, we Włoszech, Niemczech i Hiszpanii zaczęło się wzburzenie umysłów, niepokoje i rozruchy“. Przyznaje zresztą, że „powody (których nie wymienia) były słuszne, ale złe były sposoby i złe wyniknęły skutki“. Kiedy „głos ojcowski“, (jak mówi „Dziennik“) p. Tarnowskiego napomina Polaków „aby mocniejszego nie wyzywać ani nie obrażać“, to można go o tyle usprawiedliwić, że istotnie wszelkie dążenia nasze do niepodległości dotychczas chybiały celu i smutnie się kończyły, a choć cześć dla powodzenia i bezwzględna aprobata dla faktów dokonanych nie jest ani najrozumniejszą polityką, ani najgłębszą historyozofią, przy ogólnem jednak krótkowidztwie nie razi. — Gdy jednak takie napomnienia wygłasza pod adresem wolnej dziś Francyi, oswobodzonych Włoch, zjednoczonych Niemiec, to naprawdę, powaga jego ojcowska wprost śmieszną się staje.

Tajne związki krzewiące się po Europie przeniosły się i do Polski, co się p. Tarnowskiemu naturalnie bardzo niepodoba. Zdaniem jego spiski te, choć nieznaczne, zastraszyły Aleksandra i skłoniły do surowego postępowania.

Nie przypuszczamy, aby autor historyi Polskiej nie znał, nie przypuszczamy, aby nie wiedział w jaki sposób swobody traktatami zagwarantowane już w samych początkach gwałcono, jak bezskutecznie upominał się naród o poszanowanie wolności osobistej, wolność druku i pociągnięcie ministrów do odpowiedzialności, — tych ważnych podstaw konstytucyjnego porządku. — Niepodobna, aby autor któremu erudycyi przecież zaprzeczyć nie można, nie wiedział

---

uśmiechało się do mnie przez kropelki rosy — nie doznam nigdy, nigdy w życiu.

A tu w domu godziny, długie jak wieczność, na mękach ciągłych i cierpieniach, ach co ja przebyłem! Byłbym głową o mur tłukł i zakopał się pod ziemię z głuchego żalu. O, gdy sobie to przypomnę, — sto dyabłów, wolę nie myśleć o tem. — Raz, gdy poszedłem do niej rano, miotany byłem strasznym tym niepokojem i już nie wiem, do czego zdolen.

W saloniku nie było jej jeszcze, i pamiętam, gdy, wpatrzony z gorączkowem oczekiwaniem w portyerę we drzwiach, zdejmowałem rękawiczkę, rozdarłem ją na pół z tłumionego gniewu, — wtedy byłem już chyba do wszystkiego zdolen. Zrywało się coś we mnie coraz potężniej, rozpierało mi pierś pragnienie wielkie, nieznające żadnych zapór, żadnych przeszkód, żadnych więzów.

Podniosła się zasłona, i weszła Ida, witała mnie swoim rzewnym uśmiechem, a taką była piękną, — szlafroczek żółty spływał w fałdach i koronkowych zwojach do jej stóp, oczy błyszczały, jak dwa węgle czarne, a płeć miała tę barwę delikatną, pośrednią między białością, a różowością lekką. Widok jej postaci wiotkiej, chwiejącej się wdzięcznie przy ruchu każdym, podniecał te ognie, pożerające mnie, i przytrzymałem jej rękę na powitanie, przycisłem do piersi i wzrokiem rozpalonym wpatrywałem się w oblicze jej, świeże po śnie. Pierś podnosiła mi się gwałtownie i oddech stawał się głośnym, — pożerałem ją prawie spojrzeniem, i drżałem na ciele całem, gdy zapomniawszy słów zupełnie, pochylałem się nad nią i zbliżałem twarz do jej twarzy.

Cofał się lekko, i oczy rozwarły się jakby strachem, ręce jej, oparte na piersiach moich, wyprostowały się sztywnie, jakby mnie odepchnąć chciały, a głowę przechyliła w tył.

— Szalony, — Stach, — ja, ja nie chcę, wykrztusiła zaledwie, blednąc i przymykając oczy na pół.

Dysząc gwałtownie zbliżyłem się jeszcze bardziej, siłą brutalną przyciągłem ją do siebie, objąłem jej kibić i przycisłem do piersi namiętnie, — byłem pijany prawie.

— Musisz, musisz chcieć, — szeptałem i wpiłem się ustami w usta jej świeże.

— Ja cię kocham, — ty, ty musisz chcieć.

Z piersi jej wydobyło się westchnienie i zwolna obezwładniała w mojem objęciu, poddając się pieszczotom mym i uściskom. Potem oparła głowę na mojem ramieniu i zarzuciła mi ręce na szyję. Ledwie dosłyszalnie, jakby nieprzytomna, jakby w gorączce, szepła:

— Mój, mój drogi, — ja cię... tak kocham. tak kocham,

W pierwszej chwili, — pamiętam, byłem ogłuszony, w głowie wszystko mi kołowało, — myślałem, że padnę; potem, jakby mi coś krzykło w piersi, i objąłem kibić jej namiętniej, silniej i wpiłem się w usta znowu i nie widziałem nic przed sobą, tylko szalałem, całując ją i tuląc do siebie. Z piersi mojej wydobywało się jakby łkanie, nie wiem, ale zdaje mi się, że łzy mi ciekły po twarzy, a gdy teraz myślę co to było, nie rozumiem sam, czy smutek, czy boleść, czy żal, czy szczęście, czy radość, — byłem ogłuszony.

Potem z tej całej gmatwaniny uczuć wyłoniła się radość sama, podrzucała mną prawie, i byłbym krzyczał, śmiał się i ramiona roztworzył, aby świat cały miał w nich miejsce.

I przypadałem do niej i przyciskałem do piersi, jak furyat i tuliłem ją w gwałtownej pieszczocie, może jej nawet ból sprawiłem tym dzikim uściskiem.

Obudził się znowu we mnie ten brutalny, szorstki człowiek, — jak ona mnie kocha, — co mi cały świat.

Uniosłem ją w ramionach i usadziłem na otomance, a sam to chodziłem po pokoju, śmiejąc się z radości i szalejąc na swój sposób — to siadałem obok niej i przytulałem głowę do jej łona, to klękałem przed nią i okrywałem ręce jej pocałunkami.

Ona była podczas tego jakby śniąca, bez woli, tak zupełnie inna jak zwykle, taka miękka, rozmarzona, cicha, jakby ją moc mojej duszy zupełnie złamała. Milczała, tylko w oczach jej czytałem taką miłość i takie oddanie się, że odwracałem wzrok, bo przed oczyma mi ciem-

o samowolnem zaprowadzeniu cenzury już w 1819 r., o szlachetnej pełnej godności opozycyi posłów kaliskich, mianowicie braci Niemojowskich. Ich nazwiska godne czci narodu koniecznie powinny były być wymienione w dziełku, w którem znalazło się miejsce nawet na taki szczegół, że Marcin Badeni, minister sprawiedliwości, miał w owym czasie sławę najdowcipniejszego i najprzyjemniejszego na całą Polskę człowieka, co przecież u męża stanu całkiem drugorzędną jest zaletą. Nieporozumienia między carem a polskim narodem wyniknęły przecież nie z lekkomyślności Polaków, lecz z zasadniczych różnic w poglądach na konstytucyą. Aleksander uważał ją jako dowód łaski, którą każdej chwili mógł cofnąć, naród zaś jako gwarancyą swych praw i swobód, zastrzeżoną międzynarodowemi traktatami.

Jak widzieliśmy wyżej, p. Tarnowski staje na stanowisku cara Aleksandra, ztąd lekceważenie legalnej opozycyi narodu, ztąd też sympatya dla takich nieprzyjaciół wolności i konstytucyi jak minister Lubecki naprzykład. — Ciekawemi również są uwagi autora o sądzie sejmowym, który nazywa wielkim krokiem do zerwania zgody między Polską i Rosyą. — Nie może on odmówić podsądnym wielkiej odwagi i poświęcenia, zaznacza, iż opinia całego kraju była po ich stronie, lecz dochodzi do niespodzianego wniosku, że *„choć nie byli winni zdrady stanu względem Rosyi, ale byli winni względem Polski, że ją nierozważnie na nieszczęscia narażali“*.(!)

Z okazyi spisków poprzedzających powstanie wygłasza p. Tarnowski takie pod adresem narodu „zdrowe rady“: „Nie godzi się przygotowywać powstania i wojny, jeśli się nie ma lepszych, a przynajmniej takich warunków zwycięstwa jak nieprzyjaciel. Polska, choć miała swe wojsko i dobre, była od Rosyi oczywiście słabsza. Niedoświadczała też takiego ucisku, któregoby znieść nie mogła. W takim stanie rzeczy powinna była zachować się spokojnie, wzmacniać się i czekać“.

Nie ma co mówić, rada doskonała, szkoda tylko, że w większości wypadków nie wykonalna. Żadna strona wojująca przed ostatecznym wynikiem nie może mieć matematycznej pewności, iż na jej stronę zwycięstwo się przechyli — a dopiero faktyczny rezultat wojny może być niezaprzeczonym dowodem na to, po której stronie szala pomyślnych okoliczności przeważa. Jeżeli więc nikt z walczących nie może na pewno wiedzieć, czy wszczynając wojnę do rady p. Tarnowskiego się stosuje, czy jest silniejszym lub *przynajmniej* równie silnym, to już bezwarunkowo nigdy pewności tej nie może mieć wojsko powstańcze — zawsze walczące z przemocą, której długi czas ulegało. Jak się przekonamy z dalszego toku opowiadania, nawet p. Tarnowski nie byłby umiał wątpliwości na tym punkcie rozstrzygnąć, gdyby nam go była Opatrzność dała 60 lat wcześniej — a nie może przecież robić spiskowcom poważnego zarzutu z nieznajomości późniejszych faktów, które on dziś z pierwszego lepszego podręcznika wyczytać może. — Że Polska nie doświadczała takiego ucisku, któregoby znieść nie mogła, na to zgodzić się można z pewnemi zastrzeżeniami. Można znieść i 20 lat katorgi i całe życie Sybiru; można się pozwolić na prawosławie nawracać i rusyfikować, można żyć bez konstytucyi, bez wolności, bez praw narodowych, bez nauki polskiego języka i bez nauki w ogóle, można słowem, obejść się bez tego wszystkiego, do czego patryoci dążą. — Ucisk, *którego znieść nie można*, to chyba 500 nahajek na plecy, absolutny brak pożywienia, albo szubienica. Takiego ucisku cała Polska nie doznawała.

Powstanie 31 r. wybuchło, lubo zdaniem autora wybuchnąć nie było powinno, a choć „Rosya była tak wielką i silną, że wszyscy jej się bali“, to jednak były w czasie rewolucyi chwile, w których sam p. Tarnowski nie umiałby rozstrzygnąć, na czyją stronę przechyli się zwycięstwo. — Z okazyi bitwy grochowskiej powiada n. p., „że los wojny mógł był po niej obrócić się szczęśliwie dla naszej sprawy“, że „może nie ta jedna bitwa, ale cała wojna byłaby się skończyła inaczej“. Kończąc dzieje tej rewolucyi robi słuszną zupełnie uwagę: „Z dzielnym człowiekiem na czele, z szybkiem działaniem wojennem, powstanie mogło od początku iść lepiej, a po paru bitwach pomyślnych mogło było wzmocnić się tak, że w końcu byłoby wygrało. Ale tego nie było i wojna przegrana stała się strasznem dla Polski nieszczęściem, źródłem niezliczonych nieszczęść na przyszłość“.

Porównajmy to wszystko z „zdrowemi radami poprzedniego“ ustępu, a związku logicznego napróżno szukać będziemy.

I. Moszczeńska.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Sacher-Masoch.

Jak świetny meteor, co się nagle olśniewającym roziskrzy blaskiem, by się w tejże chwili z przerażającą szybkością w dół stoczyć — tak przed laty około dwudziestu, na niebie piśmiennictwa niemieckiego zabłysła gwiazda Sacher-Masocha, by po krótkiej chwili blasku, zapaść w noc zapomnienia.

Był to czas gdy w Niemczech kult dla Turgeniewa z jednej a dla Schopenhauera z drugiej strony, w najwyższym się znajdował rozkwicie. Pesymizm frankfurckiego filozofa, był dla wiernej jego drużyny ostatniem słowem filozofii. Z drugiej strony, zachwycał Turgeniew przedmiotowym spokojem, prostotą, szczerem poszukiwaniem prawdy i tą tak niezwykłą u ówczesnych niemców pierwotną świeżością niezepsutego narodu. Łaknącym orzeźwiającego tchnienia, wśród pognębiającej ciszy umysłowej Niemcom, zdawał się Wschód być krainą, z której wyjdzie hasło odrodzenia sztuki.

W tem nagle pojawił się pierwszy tom „Testamentu Kaina“ Sacher-Masocha. Miał to być cykl z sześciu części złożony. Część ta pierwsza, zatytułowaną była: „Miłość“. Za jednym zamachem stał się jej autor sławnym mężem. Jego dzieło olśniewało i zdumiewało, odpychało i pociągało razem. Było to coś zupełnie nowego. Widziano tu i siłę talentu poetyckiego i świeżość pomysłów Turgeniewa i zasady filozoficzne Schoppenhauera. Obok nadzwyczajności i świeżości, wielki urok dla wielkich mas czytelników miała, niezwykła wtenczas, chorobliwa a przytem tak odurzająca swym czarem zmysłowość i lubieżność. Brano mu to z jednej strony za złe, aczkolwiek przebaczano. z drugiej zaś — w tem właśnie upatrywano cechę wyróżniającą młodego autora od innych. W każdym razie nie przeczuwano, iż odtąd po pochyłej drodze, na którą wstąpił, coraz dalej postępując, do tego doprowadzi, iż nauka pewne zboczenie płciowe od niego „masochizmem“ nazwie. A jednak rzecby można, iż niewiele więcej następne pokolenia o pisarzu tym wiedzieć będą, jak to, iż ze szczególnem zamiłowaniem tworzył typy mężczyzn, których zboczenie na tem polegało, że uwikłani w sieci pięknej kobiety w katuszach tysiącznych, jakie im ciągłe okrutne kaprysy ukochanej kobiety sprawiały, największą rozkosz upatrywali.

Sześć rzeczy przekazał nam według testamentu swego Kain w spadku: miłość, własność, państwo, wojnę, pracę, śmierć. Dwie z nich tylko znalazły u Sacher Masochu, swego poetę. Z całego cyklu, tylko dwa tomy przyszły do skutku, z których drugi — znacznie jest już słabszy. Za to tom pierwszy jest dzisiaj jeszcze jednem z arcydzieł literatury niemieckiej. Zawiera on prolog i trzy opowiadania: „Don Żuan z Kołomyi“, „Kapitulant“ i „Noc miesięczna“. Cztery te ustępy wystarczają, by Sacher-Masocha jako jednego z najzdolniejszych niemieckich nowelistów uznać. Jest tu cudna iście harmonia treści i formy, język muzykalnością swą z jednej a barwnością, plastycznością i oryginalnością z drugiej — czarujący. W prologu spotyka autor starca „włóczęgę“, który w ucieczce przed życiem, w dziewicze lasy

---

niało z wielkiej radości, i myślałem, że oszaleję lub przytomność stracę.

Ach, — jak ta złota moja mnie kochała! Sama nie była niczem, ostać się nie mogła bezemnie, jej myśl, jej serce, jej dusza było mnie zupełnie oddane na dolę i niedolę.

Gdy tak wżyję się w tę myśl, w głowie mi się kręci, mdleję prawie i myślę, że lecę w przepaść, gdzieś w otchłań, lub bujam bez oparcia w powietrzu zawieszony. Ona, ta wielka i dumna wczoraj, kochała mnie, mnie! — ja byłem dla niej takim wielkim, ukochanym, — i to prawdą? Jakże to może być prawda, cóż ona we mnie widziała?!

Gdy sobie to tak uprzytomnię, za głowę oburącz się chwytam, gubię się w domysłach samych i pojąć tego nie mogę i wierzyć nie chcę pamięci własnej. Wtedy, gdy wróciłem do domu, zupełnie byłem przemieniony; jasność wielka świat mi rozwidniła, pragnąłbym oddać się całemu światu, cieszyć się z nim i żyć z nim, pragnąłbym roztopić się w nim radością wielką. Tak mi było potrzeba kogoś, z którymbym mógł mówić długo o swojem szczęściu, — opowiedzieć mu wszystko, co mnie cieszyło, i że ona mnie kochała!

Rzucałem się na wznak na otomankę swoim zwyczajem, biegałem wkoło pokoju, — pragnąłbym malować, krzyczeć, śpiewać, w jakibądź sposób ulżyć piersi, wezbranej uczuciem gwałtownem, a taką czułem w sobie siłe, taką potęgę, że strach. — Mój Boże, gdzież się to wszystko podziało!

Zdawało mi się, że za plecami mojemi obrazy wszystkie nachylają się do siebie i szepcą z filuternym chichotem o mojej miłości: słońce wpadające przez szyby do pokoju, mrugało na mnie szelmosko, a wszystko chyba cieszyło się ze mną, ach, bo jak ja się cieszyłem!

Wtedy nie mogłem być dłużej sam na sam z myślami swemi, — no nie mogłem: porwałem się i napowrót pobiegłem do niej. Zastałem ją siedzącą w tym samym jeszcze rogu kanapki, z głową opartą na ręku, i oczyma utkwionemi w bezmiar przestrzeni. Uśmiech okrasił usta jej na mój widok, i podniosła do mnie rękę, bezwładnie dotąd opuszczoną na kolanach.

— Przychodzisz do mnie, Stach, mój Stach, — rzekła.

— Jakże mógłbym być bez ciebie, jakżebym mógł siedzieć sam, — mój aniołku, moje drogie, moje złote dziewczę. „Mój Stach“! Kochana moja, jedyna, — twój, twój na wieki.

Porwałem ją w ramiona, jakbym ją chciał przykuć na wieki do siebie, — świat minie. życie się skończy, ale gdyby ta miłość moja, skończyć się miała, o Boże! wielki Boże! ja muszę ją zobaczyć, muszę jeszcze tutaj, to nie może być, aby ta miłość się skończyła!

Pieściłem ją, siedząc obok niej na otomance, i szeptałem ciągle, — co, nie pamię tam ale dziś mówiłbym wiele, wiele więcej.

— Szczęście moje całe, ty nie wiesz, jak mi źle bez ciebie, jak tęskniłem za tobą, moja droga, moje wszystko.

Oczy jej czarne, lśniące, przysłoniły na pół powieki, i splotła mi ręce koło szyi i bezwładnie, śniąco położyła głowę na mojem ramieniu.

Ido, — czuję, jak mi serce bije, powietrza mi braknie, tchu, — Ido, zemdlej, zginę, przepadnę przy wspomnieniach tych!

A wtedy, gdy ją tak widziałem obok siebie słabą, maleńką, cichą, — podniosła mi się pierś jakąś siłą, jakąś dumą, szczęście pierś mi rozpierało razem z tem poczuciem siły i przewagi.

To rozumiem takie szczęście, to szczęście mężczyzny: ja kochanek i ja pan! — Kobieto, gdyby mi tak myśl przyszła wtedy zabić siebie i zabić ciebie, z jaką dumą byłbym śmierci zajrzał w oczy, a ty z jakim strachem, albo nieprzytomna.

Dlatego cię tak kochałem, że cię czułem cząścią własnej istoty, mnie podwładną i nierozłącznie moją. Dlatego cię tak kocham jeszcze, boś mi była więcej niż kochanką, ja przy tobie czułem wtedy swoją moc, widziałem niebotyczność całą myśli swych, potęgę duszy swej.

(*Dokończenie nastąpi.*)

się schronił. Starzec ten wygłasza zdania pełne tragicznego samopoznania, bezlitosnej negacyi i rozpaczliwego szamotania się z istniejącym porządkiem rzeczy. Nazywa człowieka „najprzemyślniejszą, najchciwszą krwi i najokrutniejszą bestyą“. Miłość nazywa „walką płci“; jestto pojęcie, w którem już cały przyszły „masochizm“ w swym zarodku się okazuje. W „Don Żuanie z Kołomyi“ mówi mężczyzna do kobiety: „Jako w objęcia samobójstwa, tak się rzucamy w objęcia płci drugiej. Zdaje się nam, żeśmy umarli. Chcemy się bronić przeciw przemocy obcego życia, powrócić do własnej jaźni, nienawidzimy tej przemocy“. Tu widzimy już pierwszy wyraźny przejaw owego później tak monotonnie w opowiadaniach Sacher-Masocha powtarzającego się „masochizmu“.

Jakim mistrzem jest Masoch w malowaniu natury — to najlepiej widzimy w „Nocy miesięcznej“. Oto próba: „....Przed nami łagodnie falujące, lasem zarosłe pagórki. Poniżej czarnobłękitnych drzew, stał pełny, czerwony księżyc, krwawą łuną niebo zalewając. Wspaniale i spokojnie płynął biały strumień gwiazd ze wschodu ku zachodowi; na dole, na północnej nieba stronie, jaśniał wielki niedźwiedź. Pomiędzy pobliskiemi wierzby, wznosił się z małego oparzeliska, które bladem, zielonawem połyskiwało światłem, lekki, przezroczysty obłok. W miarę, jak naprzód szliśmy, wypełniał się krajobraz coraz bardziej światłem. Po obu stronach rozstępowały się zwolna ponure ściany drzew i oto przed nami otworzyła się falująca równina, zielone, lśniące iskrzące się morze, po którem biały dwór szlachecki, ze swemi topolami, jako okręt o pełnych żaglach płynął....“ „Pełny księżyc zlewał z wysoka nad nami, świętem, czarownem swem światłem— krajobraz; tarcza jego płynęła czysta, niezaćmiona, po nad głowy naszemi; tajemniczy świat jego powierzchni, znaczył się na niej jeno jako blada woń, jako lekki rysunek na przesłonie oświetlonej lampy“.... „W kół, w lśniących wilgotnych gąszczach po nad stawem, po nad rzeką, zawodziły słowiki a teraz zakwilił jeden zupełnie już blisko, w ogrodzie, tak słodko, tak rozdzierająco....“

Kto tak pisał, ten mógł świetne rokować nadzieje. Niestety srodze zawiodły one wielbicieli nagle zeszłej gwiazdy. Coraz niżej i niżej zstępując, doszedł Sacher Masoch wreszcie do tego, iż w końcu jego imię już tylko na książkach jak „Messaliny Wiednia“ i innych tym podobnych jaśniało. I tak marniał z dniem każdym, sam popadając w niesławę i nędzę, a księgarzom, polującym za tłustemi historyjkami, tysiące przysparzając...

W ostatnich czasach, kilkakrotnie imię jego wypływało na chwilę z zapomnienia, z którego po części niezasłużenie i złośliwie krytyka niemiecka, nielubiąca go z powodu jego nienienmieckości, pogrążyła. Raz, gdy wielbiciele jego, z powodu sześćdziesięcioletniej rocznicy jego urodzin, dar narodowy przynieść chcieli, drugi raz, gdy żona jego do ofiarności publicznej z prośbą o pomoc dla potrzebującego troskliwej opieki biednego obłąkańca się udała i niedawno wreszcie, gdy dzienniki o śmierci jego doniosły.

Dziś, gdy umarł, wolno powiedzieć — jak niestety zbyt często — na inny on los zasłużył! Znienawidzony przez naród, dla którego pisał, którego języka używał, a do którego się nie przyznawał — nieprzytulony przez żaden inny, stał samotny wśród wielkiego tłumu piszących i kto wie, czy nie dlatego właśnie, w coraz większą skrajność, — w coraz straszniejsze popadał zmanierowanie. A jednak, w ostatnich jeszcze czasach czytałem mały szkic jego nowelistyczny. Jaka pełnia, jaka potęga talentu, co za przepych obrazów, co za siła w kreśleniu i jaka — acz chorobliwa — czarująca, dzika poezya we wszystkiem!

Sacher-Masoch u nas nie był lubiany i.... słusznie! Wychowany w Galicyi, gdzie ojciec jego pełnił służbę jako urzędnik policyjny, po ojcu niemiec, acz z dalekich przodków hiszpańskich, występował tak jak przeciw niemcom często i przeciw nam wrogo. Nie może to jednakże stać na zawadzie uznaniu w nim wielkiego, acz zmarnowanego talentu.

W przeciwieństwie jego, nie leżała ani rasowa ani narodowa niechęć, ile raczej stanowa i socyalna, co trzeba uznać za okoliczność łagodzącą. Nie usprawiedliwiamy go jednak, ani nie sypiemy na ten grób kwiatów, ale regestrując zniknięcie wrogiego nam talentu, który sam siebie zniszczył i przeżył, bez namiętności i gniewu patrzymy na usypaną mogiłę... *z. b.*

Wiązanki literackie.

(*M. Konopnicka: Na drodze.*)

Książka, o której dziś mam zamiar mówić, nie należy do najnowszych, ale do tych, które długo, długo zachowują świeżość, a pisaną jest przez jedno z najpierwszych wśród najlepszych piór. Mam na myśli zbiór nowel Konopnickiej p. t. „Na drodze“.

Trudno ptakowi, który przywykł latać w podniebnych sferach zejść i chodzić po ziemi, trudno jest duchowi, przywykłemu bujać wśród błękitów poezyi, porzucić boską mowę, iść ciernistemi drogami życia i opowiadać prostym, niewiązanym językiem, co na tych drogach, spotyka. Umie to jednak Konopnicka, a choć nie jest w tych opowiadaniach tem, czem przywykliśmy ją widzieć w poezyach, chociaż z groźnej i wspaniałej Afrodyty-Uranii przemienić się usiłuje w przystępną*) i popularną Afrodytę-Pandemos, jednak i w tej postaci jest wyższa o głowę od całego małego ludku nowelistów i nowelistek, a niekiedy olśniewa tym słonecznym lub gwiaździstym blaskiem, który przypomina, że to władczyni nieba, chwilowo tylko w ziemskie przyodziana łachmany.

I w tym tomiku zatytułowanym „Na drodze“ z datą r. 1893 znajdujemy jedną z tych gwiazd, którą wziąwszy z nieba zapomniała autorka zakryć ziemską szatą prozy, a która świeci z dala takim blaskiem, że ludziom się zdaje, jakoby wszystkie perły i dyamenty w niej były zebrane... Ale nie ma tam pereł ani dyamentów, tylko jedna święta łza nad pokrzywdzonymi, uciśnionymi, tylko jeden jęk oburzenia na niezasłużoną krzywdę.

Gwiazda ta nazywa się „Mendel Gdański.“

Ale najpierw wytłomaczmy zkąd ten dziwny tytuł zbiorku:

„Tymon Ateńczyk w podróży do Syrakuzy spotkał rosłego niemal kształtów męża, który niosąc niewielki, prawie pusty mieszek, aż do ziemi się uginał pod jego ciężarem. Widok był dziwny i śmieszny.“

Zaciekawiony pyta, co by to było?

Rzuca domysł za domysłem: może to mowa Klitjasza? może cnota Syrakuzanek? może rządy tyrana Dyonizyusza?

Nie, to są wszystko rzeczy zbyt lekkie w porównaniu z tem, co niesie nieznajomy. Więc może łzy Helotów?

— Nie, to co dźwiga jest cięższe od łez Helotów.

— Cóż to więc? na Zeusa! pyta zdziwiony Ateńczyk.

— Śmiech Helotów, zebrany na rynku w Syrakuzach.

Takie króciutkie opowiadanie pod tytułem „na drodze“ dało nazwę całemu tomowi, a jednym z okazów tego „śmiechu helotów“ jest Mendel Gdański.

Któż to jest ów Mendel? Prorok czy wieszcz? Czy bohater stojący na czele zbrojnego narodu, wielki uczony czy wielki marzyciel?

Nie, jest to poprostu introligator. Jest on znany i lubiany przez wszystkich sąsiadów z uliczki staromiejskiej, którą od niepamiętnych czasów zamieszkuje i zna ją także dobrze. Zna on wszystkie tajemnice tego małego światka. „Wie kiedy się powiększa, a kiedy zmniejsza kaszel starego archiwisty, który mu przyniesie do oprawy grube, pełne kurzu foliały zatęchłych papierów, wie jak pachnie pomada małego dependenta, któremu zszywa akta pana mecenasa; wie, kiedy przyjdzie Joasia od pani radczyni z żądaniem, aby jej za „škło pięknie wsadził“ laurkę z powinszowaniem, na której złocisty anioł odkrywa się i pokazuje kawalera z bukietem róż w ręku; wie, kiedy nie je obiadu student, mieszkający na strychu, wie, z której strony nadbiegnie zdyszana pensyonarka, żądając, aby jej „niebiesko i ze złotemi sznurkami“ oprawił przepisane na listowym papierze poezye Czesława i Gawalewicza.

Stary Mendel ma małego Kubusia, wnuka, sierotę po wcześnie zmarłej córce, dziecko wątłe i chorobliwe, które chodzi do gimnazyum „na to, coby rozum miał“, na to, aby mądry był „na ten kraj, na to miasto“.

Do pewnego czasu nic nie zakłócało tej sielanki i tej harmonii. Zdarzyło się raz wprawdzie, że chłopaki od ślusarza i od szewca zebrali się przed oknem Mendla i robili sobie śmieszki z jego modlitwy, ale przechodził w tej chwili stary proboszcz, a widząc modlącego się żyda uchylił kapelusza i to wystarczyło do rozproszenia zawstydzonej dzieciarni.

Nagle powiał jakiś nowy wiatr. Nasamprzód Kubusia zaczepia jakiś chłopak na ulicy, krzycząc w ślad za nim „żyd!“ a on ucieka tak pospiesznie, że zgubił nową czapkę. Stary Mendel wystrofował go, nie tyle za czapkę, ile za to, że uciekał i wstydził się tego przezwiska.

...Jakby u ciebie mądrość była, toby ty tego nie wstydził się, nie płakał, nie uciekał, że kto na ciebie „żyd“ krzyknie...

...Ty się w to miasto urodził, toś ty nie obcy, tyś swój, tutejszy, to ty prawo masz kochać to miasto, póki ty uczciwie żyjesz...

...Uczciwym żydem być jest piękna rzecz! To pamiętaj sobie, — tak zakończa Mendel przemówienie, które radzibyśmy przytoczyć w całości, gdyby nie brak miejsca.

Ale oto pachnący wpada dependent i rzuca nowinę, że żydów bić mają: wchodzi zegarmistrz i powtarza tę samą wiadomość. — Jakich żydów? czy tych co kradną, co wyzyskują? tych i Mendel gotów pójść bić. — Ale nie, wszystkich żydów. — Za cóż wszystkich? — A za cóżby? Za to, że żydy? — Tu iskry błysnęły w oczach introligatora... Nie kusimy się oddać w kilku słowach wspaniałego przemówienia Mendla, przerywanego od czasu do czasu replikami tłustego zegarmistrza.

Wzniosłe ideje i oryginalną wschodnią obrazowość argumentacyi podnosi jeszcze przez kontrast gwara żydowsko-polska starego introligatora, i to jakieś niezwykłe pomięszanie wielkiego z drobnem, które nie pozwala zapomnieć Mendlowi nawet na szczycie patosu, że zgubiona przez Kubusia czapka kosztowała 5 złotych bez sześciu groszy...

...Ale strony rozeszły się bez wzajemnego przekonania. — Zegarmistrz jest typem płytkości i pospolitości, zupełnie niewrażliwy na żadną ideę szerszą. Zresztą do czego by to mogło doprowadzić?

Na drugi dzień wpada do Mendla chudy student z facyatki i odpychając od drzwi wychodzącego do szkoły Kubusia ostrzega go:

— Uciekaj, bo żydów biją!

Jak to uciekać, dokąd uciekać? Czy on co ukradł? — oburza się stary Mendel. — Ale nie czas na rozprawy, bo oto toczy się z hałasem rozszalały tłum... Przybiegają kobiety z sąsiedztwa i chcą wyprowadzić Mendla z wnukiem, a stróżka wystawia krucyfiks w oknie. — Ale Mendel stanowczy jest i niezłomy... Teraz wyrasta on na prawdziwego bohatera.

...Jedną rękę oparł ciężko na ramieniu chłopca, a drugą odsunął kobiety. Oprzytomniał już zupełnie przez tę jednę chwilę.

— Dajta spokój, Janowa! — mówił twardym, brzmiącym jak dzwon głosem. — Dajta spokój! Ja wam dziękuję, bo wy mnie czy świętość chcieli dać, mnie ratować, ale ja do moje okno krzyż nie chcę stawić! Ja się nie chcę wstydzić, co ja żyd. Ja się nie chcę bać! Jak uny miłosierdzia w sobie nie mają, jak uny cudzej krzywdy chcą, nu, to uny nie są chrześciany, nu, to uny i na ten krzyż nie będą pytali, ani na ten obraz... Nu, to uny i nie ludzie są. To uny całkiem dzikie bestye są.

„A jak uny są ludzie, jak uny są chrze-

*) I dla tego zrozumialszą dla takich krytyków jak autor Studyów w Ateneum, który ze wszystkich utworów Konopnickiej najwyżej postawił nowele.

ściany. nu to dla nich taka siwa głowa starego człowieka i takie dziecko niewinne też jak świętość będzie.

— Pójdź Kubuś! — i z dzieckiem staje u roztwartego okna. Biedny idealista! Jak wszyscy prawdziwie wielcy ludzie liczy na wspaniałomyślne uczucia tłumu... Ale widok heroicznego starca i wątłego dziecka zwiększa tylko wściekłość tłuszczy. Kamień rzucony rani w głowę Kubusia. W tej chwili staje pod oknem student z facyatki i rozkrzyżowawszy ręce, pełen oburzenia i pogardy, wstrzymuje tłum odwagą swoją.

Był w tej chwili pięknym jak Apollo, — dodaje autorka — ale chyba nie dla warszawianek: bo co do większości ich serduszek, ściśniętych pod prętami konwencyonalnego gorsetu, prędzej przemówią naperfumowane wąsiki i ufryzowany czubek, niż pieczęć wielkości lub geniuszu na ospowatej twarzy...

Od tej chwili posmutniał Mendel, bo mu „serce umarło do tego miasta.“

Przerażającą głębię niedoli ludzkiej malują obrazki p. t. „U źródła“, „Na rynku“, „Dziady“, „Jakton“. Ten ostatni także i heroizm przekonania. Do tegoż zakresu należą „Dym“, „Nasza szkapa“ i „Głupi Franek“. Dwa pokrewne typy spotykamy w pierwszej i w ostatniej z wymienionych nowel. Typ sieroty, poety nie żyjącego życiem doczesnem, ludzi, którzy wybrali to jedno, o którem mówił Chrystus: „o wielu rzeczach staracie się, alić jedno jest potrzebne“!...

Oto naprzykład sierota, którą „janioł“ nauczył czytać. — zostawiła ją matka odumierając bez koszuliny, a najwięcej ta myśl umierającą męczyła i skonać nie mogła, dopóki kuma nie obiecała, ze „jak tyluśko skonają, zara z nich płachtę ściągnie i mnie koszulinę zrządzi“. A później „zwyczajnie to pchła to szturchła“. „Ale że jeść to dała... drugi raz to i kotu ujęła, żeli nie dostawało, a równie pamięć miała, że to sierocie głód.... Tyla co one chłopczyska straszne nademną panowały. Nie przeszedł żaden, żeby włosów nie targnął, nie szczypnął, pod ziobro kułakiem nie zajechał... A najbardziej to mnie poniewierały, żem ich uglądała jak się na książce uczyły“. I bili ją za to „uglądanie“ i odpędzali, a ona się jednak nauczyła: dostała gdzieś groszówkę i „bez trzy dni medytowała, „kandy ja tę groszówkę przed onemi chłopczyskami skryję, żem to spódniczątka nijakiego nie miała, ano i kieszeni, inom w chłopczyńskiej koszuli krowy pasła... A jednak nauczyła się na tej groszówce i jak teraz miarkuje, „to nic, ino janioł mi tak przez wszystko dopowiadał.“ I wie teraz, że „książka to wielka rzecz jest!“ — Jakże mało kto z naszej inteligencyi czuje tak te proste słowa jak ona czuła.

„Głupi“ Franek nie z książek drukowanych czerpał natchnienia poetyckie: stała przed nim otworem wielka księga przyrody i była dlań zrozumiałą, bo kochał ją i cenił. To też nie zdatny był do żadnej roboty: „latem żył z rzeki i podrywki, a zimą z miłosierdzia ludzkiego“. Jak i u tej sieroty, co ją „janioł“ uczył czytać, tak i u Franka rzeczywistość zlewa się w jedno z poezyą, z tradycyą. To mawiał, że pamięta Francuza, kiedy szedł na wojnę, to, że sam był dzieciątkiem, kiedy Heród niewiniątka mordować kazał... Z początkiem wiosny szedł „do matki — lub do ojca“ — tj. nad rzekę lub w bory, a wracał o szronie; a gdy ludzie żartowali:

— „Nie tęgo cię matka wyprawiła w świat“! — odpowiadał na to:

— Sama w biedzie. Sama w uciążeniu i pracy. Tera tyle rybek pożywić; tera tyle trawy nieść... tera tyle ziemi szmat obejść... Oj nie letki żywot, nie letki! A jeszcze i na oną siną świtkę zarobić także musi, strugi modre po nici zbierając, a na srebrnym wrzecionie przędząc“...

To znowu, w lesie widzi wojska i króla Balcera w płaszczu ze szczerego złota, w złotej koronie na głowie i słyszy huk bitwy.

Słyszy on co ziemia opowiada, „bo wiatr i ogien z żywych moc biorą, a ziemia moc bierze z tych umarłych kości. Co od kości umarłych usłyszy, to żywym powiada.“

— A co powiada?

— Powiada, co chleba da głodnemu, wody pragnącemu, lnu i konopi nagiemu, ziołów niemocnemu. Powiada, co pocieszenie da smutnemu, sprawiedliwość krzywdzonemu, uzwolenie zawartemu, a zmęczonemu wieczny odpoczynek — amen!“

I kocha tę swoją ziemię całem sercem, jak również z całego serca nienawidzi niemców — intruzów, którzy osiedli na drugim brzegu Narwi i powoli — potroszę skupują cały dobytek i ziemię od polskich chłopów, emigrujących do Ameryki. To też ze zgrozą stara się odwieść od tego swoich współziomków, a gdy jego prośby wywołują tylko śmiech „mądrych“, zaczyna śmiać się tak „że wstyd ich ogarnia...“

Za długo zabawiłem nad temi kilku, ażebym mógł chociaż pobieżnie wspomnieć o innych nowelkach lub obrazkach. Nie wszystkie są jednakowo piękne i głębokie: ale wszystkie pełne są tej prawdziwej poezyi, która, ażeby być piękną, nie potrzebuje się ozdabiać kosmetykami wyszukanej i sztucznej formy, jak pseudopoezya salonowa, i która tak ma się do utworów gracików filigranowych jak ospowata twarz owego natchnionego ideą „studenta z facyatki“ do zakręconych wąsików eleganta z wystawy fryzyerskiej... *W. M. Kozłowski.*

BADANIA NAUKOWE.

O ruchu etycznym.

Szkic historyczno-filozoficzny.

(Dokończenie.)

Wspólnych interesów wszystkich dotąd wymienionych stowarzyszeń strzeże międzynarodowy związek wolnomyślnych, założony w Brukseli 30. sierpnia 1880 przez wolnomyślnych starego i nowego świata. Myśl o związku takim kiełkuje już dawniej na zebraniach w Amsterdamie w roku 1859 i w Neapolu w roku 1869, lecz bezskutecznie: dopiero w r. 1880 zamiar daje się przeprowadzić. Siedzibą rady jeneralnej jest początkowo Londyn, później przeniesioną zostaje do Brukseli. Na kongresie w roku 1889 w Paryżu 170 delegatów reprezentuje około 240 stowarzyszeń i związków, 21 czasopism i 16 lóż. Między stowarzyszeniami jest 100 francuskich, 17 belgijskich, 15 angielskich z national secular society, 32 hiszpańskich, 7 portugalskich, 3 włoskie, nadto 20 wolnych gmin niemieckich; związek niemiecki i szwedzki. Z pism jest 5 francuskich, jedno belgijskie, jedno portugalskie, 14 hiszhańskich; z lóż 11 francuskich, 3 hiszpańskie i 2 włoskie. Członków kongresu nader uroczyście wita i przyjmuje u siebie paryska Rada miejska.

Zauważyć jeszcze należy, że w ostatnich czasach Niemcy stały się silnem ogniskiem ruchu etycznego. Przez Niemców do Ameryki przeniesiony ruch ten ztamtąd znowu do Niemiec wraca i to za inicyatywą wspomnianych już W. Saltera, Dra Feliksa Adlera i Stantona Coit'a. Profesor uniwersytetu berlińskiego Jerzy Giżycki już w wydanym przed laty kilku dziele p. t.: „Moralphilosophie“ występuje w obronie stowarzyszeń etycznych, w nadziei, że „kiedyś, w czasach kiedy szable przemienią się na lemiesze a lance na sierpy, dawne instytucye zmienią się na gminy dla oświaty etycznej“. Dopiero znany reakcyjny projekt ustawy szkolnej ministra Zedlitz-Trützschlera'a skłania kilka umysłów wybitnych do opuszczenia stanowiska platonicznej miłości dla stowarzyszeń etycznych i do rozpoczęcia pracy praktycznej; przyczynili się tu wyżej wymienieni etycy amerykańscy. Odbywa się kilka zgromadzeń, wybierają komitet, a na dniu 19. października 1892 konstytuuje się w Berlinie „Towarzystwo niemieckie dla kultury etycznej“. Nie ma ono bynajmniej wrogich dawnym wierzeniom tendencyj, gdyż §. 1 statutu wyraźnie brzmi: „Celem Towarzystwa jest starać się tak w gronie członków, jak i poza niem, o rozwój kultury etycznej dla złączenia i zjednoczenia wszystkich, niezawiśle od wszelkiej różności stosunków życiowych, poglądów religijnych i politycznych. Przez kulturę etyczną rozumie Towarzystwo taki stan, w którym panują sprawiedliwość i prawda, ludzkość i wzajemny szacunek.“ Towarzystwo widzi nawet w tej tolerancyi swej zasadniczą różnicę od zapatrywań stowarzyszeń wolnomyślnych, lecz w zamian żąda też najdalej idącej swobody sumienia dla wszystkich. Srodkami dla dopięcia celu mają być:

1. Urządzenia w celu podniesienia etycznego wychowania młodzieży we wszelkich jego fazach i pielęgnowania przy pomocy nauki etyki tego wszystkiego, co jest prawdziwie ludzkiem i ludziom prawdziwie wspólnem, niezawiśle od różnic w obrządkach i zapatrywaniach stronnictw.

2. Urządzanie wśród członków odczytów i dyskusyj na temat kwestyj i zagadnień etycznych i krzewienie zbawiennego wpływu sztuk i nauk wśród najszerszych kół ludności.

3. Rozpowszechnianie rozpraw i dyskusyj etycznych przez książki, pisma, artykuły itd.

4. Branie udziału w polepszaniu stosunków i położenia biedniejszych warstw, w ochranianiu i niesieniu pomocy wszystkim cierpiącym i uciśnionym we wszelkich wypadkach nieszczęścia i bezprawia.

Naturalnie wątpliwem jest, czy à la longue utrzyma się owa tolerancya Towarzystwa z powodu rozlicznych kolizyj, na jakie cele jego z natury rzeczy są narażone, gdy na zewnątrz, objawiać się zaczną. Chyba, że Towarzystwo chciałoby pozostać bezbarwnem, a więc nie rozwijać odpowiedniej działalności. Już na zebraniach wstępnych, w których brali udział przedstawiciele wszystkich bez wyjątku warstw społecznych, uwidaczniały się różnice zdań w tej mierze, tudzież różnice w zapatrywaniach co do zakresu działalności. Społeczni demokraci np. żądali pracy w swoim kierunku, ze względu na to, że obecny nastrój ekonomiczny bynajmniej nie odpowiada ideałowi etycznemu. Znaleźli się i przeciwnicy, którzy temu oponowali a w razie przychylenia się do wniosku demokratów, grozili cofnięciem swego współudziału. Na razie udało się jeszcze burzę zażegnać. Między przywódcami widzimy dyrektora obserwatoryum astronomicznego w Berlinie, Foerstera, wspomnianego już prof. Jerzego Giżyckiego i stryja jego, Hugona Giżyckiego*), tudzież znakomitego profesora uniwersytetu w Pradze, Dra Fryderyka Jodl'a, którego przemowa**) na zebraniu sekcyi Towarzystwa w Frankfurcie nad Menem obszernie przedstawia cele i istotę ruchu etycznego w Niemczech. Wybitnym działaczem na polu etycznem jest też M. von Egidy, który w licznych broszurach***) propaguje myśl czysto ludzkiej, ziemskiej etyki.

Rysem znamiennym niemieckiego i amerykańskiego ruchu w przeciwstawieniu do angielskiego i francuskiego jest brak nieprzyjaznych tendencyj dla dawnych wierzeń, ba nawet chęć posługiwania się niemi poniekąd dla własnych celów.

Ruch moralistyczny wywołał ruch przeciwny, tzw. immoralistów, wychodzących poniekąd ze stanowiska teoryj Fryderyka Nietzsche'go, negujących wszystko, a więc i moralność czyli raczej ogólne przepisy moralne a twierdzących, że każdy człowiek odrębną powinien mieć moralność, być sam dla siebie miarą swojej moralności. Do tego kierunku zaliczają się indywidualiści i „anarchiści moralności“ jak Wille, Mackay, bracia Juliusz i Henryk Hart i znaczna część „młodych Niemiec“. Ostatnim oddźwiękiem tego ruchu jest dzieło p. t. „Die Aussichtslosigkeit des Moralismus“ Adolfa Gerecke'go****), wywodzące, że przykazanie „Będziesz“ jest niesłuszne, łamie

*) H. v. Gizycki: „Hier stehe ich! Ich kann nicht anders! Gott helfe mir! Amen!“, broszura, Berlin 1893.

**) Dr. Friedrich Jodl: Wesen und Ziele der ethischen Bewegung in Deutschland, Frankfurt a. M. Gebruder Knauer 1893.

***) M. von Egidy: broszury „Ernste Gedanken“, „Ernstes Wollen“, „Einiges Christenthum“ 1893.

****) nakładem firmy Schabelitz w Zurychu 1893.

bowiem i więzi pragnienia i popędy jednostek. Przepisy moralne muszą się tak samo stać z biegiem czasu dogmatem jak były nim stare wierzenia. Co zatem jednostka (tak on wywodzi), pragnąca przejawić swoje popędy, doznająca zaś przeszkód ze strony przepisów moralnych, będzie wobec nich tak samo kłamała, jak kłamie dziś wobec krępujących ją dogmatów. Ujemny skutek moralizmu przedstawia Gerecke w sposób następujący: „Nigdy jeszcze nie powiodło się usiłowanie przezwyciężenia żądzy przez perswazyę. Moralistów przyrównać można do głupców, nakazujących sobie „nie będziesz pił“. Nadchodzi jednak chwila okropnego pragnienia, tj. łaknienie, wynikające z wstrzemięźliwości wywołanej pożądaniem; zamiast pić, ludzie tacy połykają najpierw ślinę, potem tysiąckrotnie maczają palce w wodzie, nareszcie zaś całą głowę zanurzają w wodę, pijąc dopiero bez miary; albo też wpadają w obłęd, biczują się, tańczą itd. . . . . Dlatego też, a uczy nas tego historya, naród moralny jest narodem bezmyślnym; nie tworzy nic nowego, nie postępuje. Żądze, pragnienie używania i intenzywne odczuwanie tegoż bez skrupułów moralnych — oto żyzny grunt, na którym wyrasta najwspanialsze kwiecie ducha“. Immoraliści mają nader licznych przeciwników, choć i ci nie ukrywają pewnych ujemnych stron ogólnych przepisów moralnych. Tak np. Chrystian Ehrenfels w artykule pt. „Werdende Moralität“ *****) powiada: „Wartościowanie moralne działa suggestywnie i na takie przymioty, których wzrost ze względu na zdrowy rozwój ogólny pożądanym być nie może, omijając inne, których pielęgnowanie okazałoby się pożytecznem. Zdarza się to zwłaszcza w epokach przejściowych i podczas przesileń rozwojowych. Rozwój wyprzedza bowiem zawsze wartościowania moralne, ponieważ na te ostatnie składają się w mniejszej części wnioski rozumowe, a w większej — instynkta, assocyacye myśli i przyzwyczajenie, wskutek czego są one płodem nie teraźniejszych, lecz minionych stosunków życiowych i społecznych“. . . . Mimo to uważam moralność za jedną z tam ochronnych przeciwko rozpasanemu potokowi, który egoizmem ludzkim zwiemy; usunąć moralność znaczy tyle, co narazić się na niebezpieczeństwa sprowadzane przez nieujarzmioną siłę żywiołu“.... Ruch immoralistyczny zresztą bardzo jeszcze jest młody i nie może się mierzyć co do sił swoich z ruchem moralistycznym, w którym umiłowanie ideału etycznego jednoczy osoby i społeczności tak różne, jak materyalistę Helwecyusza, utylitarystę Beuthama, ucznia Hegla — Feuerbacha, czciciela Kanta — Saltera, Unitaryuszów, Buddhystów i Bramanistów.

*****) Freie Bühne 1892 zeszyt IX.

Dr. S. Garfein.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Socyalizm w Galicyi.

Kwestya społeczna od lat kilku weszła w Galicyi na nowe tory. Starodawne formułki domorosłych znachorów chorób społecznych, któremi zażegnywano wszelkie zagrażające lub spodziewane „kataklizmy“ socyalne, przestały skutkować, odkąd powstał do życia stan czwarty naszej ery — rzesza robotnicza.

Zwolennik czy przeciwnik ruchu robotniczego, — każdy kto umie patrzeć na życie i z jaką taką trzeźwością osądzać jego objawy, przyznać musi, że powstanie tego nowego w życiu społecznem Galicyi czynnika rozszerzyło znacznie łożysko, którem się do owego czasu toczyły sprawy krajowe. Jakiś silniejszy podmuch z szerokich niw zachodu powiał na społeczeństwo galicyjskie, które po długim letargu bierności obudziło się do czynnego życia.

Ostatnich lat kilka dokonało niepoślednich zmian w ogólnej atmosferze społecznej w Galicyi. Szerokie warstwy ludności zaczęły się żywiej zajmować sprawami, leżącemi po za zakresem ich zajęć potocznych. Ogół zaczął bacznie śledzić czynności „uprzywilejowanych prowodyrów narodu“; krytyka ich czynności (resp. bezczynności) zaczęła się ujawniać coraz głośniej, coraz dobitniej. Różnice polityczne stronnictw, bojujących z sobą o przewództwo w polityce krajowej, uwydatniły się silniej w zabiegach około pozyskania potężnego sojusznika w śpiącej dotąd masie ludności robotnicznej miejskiej i wiejskiej, która nagle z bezczynnego uśpienia się ocknęła. Zdany na łaskę swoich „jenerałów“ tłum mieszczański (tak zwane obywatelstwo miejskie i wiejskie) ze zdumieniem posłyszał nowe hasła i nowe odgłosy, nie licujące zupełnie z formułkami „der alten guten Zeit“. Niejednemu strachajle błysnęło przed oczyma krwawe widmo roku czterdziestego szóstego, niejeden zadrżał ugodzony w najświętszem swojem poczuciu utrwalonego prawa posiadania.

Ogół jednak poczuł w sobie popędy do współudziału w życiu publicznem i pod wpływem tych popędów podniosła się silna reakcya przeciwko dotychczasowemu wszechwładztwu garstki panów i półpanków, którzy rządy Galicyi i losy jej ludności w swoich dzierżyli rękach.

Cały t. zw. prąd demokratyczny w Galicyi, którego obecność w życiu publicznem tego kraju datuje zaledwie od lat kilku, — był jakby dziełem jednego, nagłego, choć niegwałtownego przewrotu i dzisiaj — pomimo przemożnego jeszcze wpływu koteryi możnowładnej — nikt chyba nie zaprzeczy, że prąd ten zdołał ogarnąć najszersze warstwy ludności mieszczańskiej, która stanowczo zaczyna dobijać się praw przewództwa w polityce krajowej.

Prąd ten jednak nie zdołał przeniknąć do warstw dalszych, musnąwszy zaledwie po wierzchu — ludność wieśniaczą. Ogromna większość ludności galicyjskiej, posiada odrębne swoje potrzeby ekonomiczne i wytęża działalność swoję w zupełnie innym kierunku, aniżeli politycznie „uprawnione“ mieszczaństwo. Postulat powszechnego głosowania jest tylko środkiem do celu — a celem tym dobitne zróżniczkowanie społeczeństwa i interesów poszczególnych jego warstw.

Wśród ludności wiejskiej dążność ta nie występuje jeszcze na jaw zupełnie wyraźnie. Stronnictwo tak zwanych „ludowców“, nie rozwinęło jeszcze jasnego programu swoich dążeń — bo rozwinąć go nie mogło. Poszczególne jednostki, jak ks. Stojałowski, zabawiając się demagogią w najlepszej zapewne wierze, iż ona doprowadzi do jakiegoś celu, nie zdają sobie sprawy gdzie i jakim jest ów cel niejasny, do którego dążą. Najsilniej wylania się kierunek reprezentowany przez „Związek chłopski“ — a dążący do wytworzenia t. zw. burżuazyi chłopskiej, której długoletnie rządy w krajach skandynawskich nauczyły nas nieco oględniej oceniać pozorne jej zalety.

Najwyraźniejsze i najbardziej zdeklarowane stanowisko zajęły warstwy robotnicze, które rozwinęły sztandar socyalno-demokratyczny.

Długi czas utrzymywało się wśród warstw mieszczańskich w Galicyi przekonania, iż ruch mas robotniczych da się zużytkować dla celów i działalności budzącego się do życia polytycznego stanu trzeciego. Sporadyczne objawy niechęci i przeciwieństwa ze strony tych mas kładziono na karb ich niedoświadczenia lub agitacyi, „importowanej z zachodu“. Nawet sfery tzw. inteligencyi mieszczańskiej zapoznawały siłę i samodzielność ruchu robotniczego i do ostatnich niemal dni łudziły się nadzieją pozyskania warstw robotniczych dla swoich dążeń. Ruch robotniczy powstał bowiem w Galicyi tak nagle i rozwinął się tak szybko, że za nim zdołano zrozumieć jego znaczenie i siłę, musiano sobie tłomaczyć jego wzrost wpływami postronnemi i... sztucznemi.

Szybko jednak przekonano się o — omyłce. Agitacya socyalistyczna w Galicyi powstała na gruncie swojskim. Najlepszym tego dowodem — patryotyczny, szowinistyczny niemal charakter, jaki agitacya ta miała w latach siedmdziesiątych i ośmdziesiątych, w którym to czasie szersza publiczność galicyjska po raz pierwszy miała sposobność zaznajomienia się z dążnościami socyalistów, dzięki kilku głośnym procesom sądowym. Początki te miały cechę konspiratorską. Były to porywy młodych entuzyastów, pozbawione realnej podstawy i nie zdolne poruszyć szerszych warstw ludności. Działalność socyalistów polskich, którzy wówczas rekrutowali się prawie wyłącznie z pośród młodzieży szkół wyższych, z pochodzenia mieszczańskiego, polegało na czysto teoretycznem rozszerzaniu zasad socyalizmu. Założony we Lwowie w r. 1878 dwutygodnik „Praca“ figurował wprawdzie jako organ robotniczy, lecz w rzeczywistości był on organem młodych teoretyków socyalistycznych i na rozwój ruchu robotniczego nie wywarł silniejszego wpływu.

Dopiero z końcem dziewiątej dziesiątki bieżącego stulecia idea socyalistyczna zaczyna znajdować zwolenników wśród warstwy robotniczej.

Zwrot ten stanowczy ruchu robotniczego przypada na chwilę założenia pisma p. t. „Robotnik“, którego numer pierwszy ukazał się dnia 1 marca 1890 we Lwowie. Dzień ten można nazwać dniem urodzin socyalizmu galicyjskiego.

Pierwszym objawem jego istnienia był obchód święta robotniczego, urządzony we Lwowie dnia 1 maja 1890 roku przez zwolenników idei socyalistycznej, którzy zadokumentowawszy w ten sposób solidarną łączność swoją z socyalną demokracyą niemiecką, zawiązali się w kilka miesięcy potem dnia 15 listopada 1890 w oficyalną „partyą robotniczą socyalnodemokratyczną“.

Program nowej partyi opierał się całkowicie na programie socyalnej demokracyi niemieckiej, uchwalonym na zjeździe hainfeldzkim. Zaznaczono w nim, iż celem partyi galicyjskiej jest: „rozszerzyć zasady socyalno-demokratyczne w najszerszych kołach świata robotniczego i zbudzić masy robotnicze do życia, przyczem z naciskiem podniesiono potrzebę silnej organizacyi i łączności z socyalną demokracyą niemiecką, angielską i francuzką.

Do urzeczywistnienia tego programu zabrano się niezwłocznie. Agitacya prowadzona za pomocą zwoływania zgromadzeń ludowych, na których omawiano kwestye powszechnego głosowania, ośmiogodzinnego dnia pracy, wolności słowa, stowarzyszeń i zebrań etc. jednała partyi coraz większe koła zwolenników. Rzucono się do zakładania stowarzyszeń zawodowych i zapomogowo kształcących i kraj cały pokryto siecią doskonale zorganizowanych stowarzyszeń robotniczych „Siła“, które skupiły około siebie olbrzymią większość ludności robotniczej.

Święto majowe, obchodzone w roku 1891 w którem wzięło udział kilka tysięcy robotników, przekonało wszystkich, iż socyalizm znalazł grunt urodzajny w Galicyi.

Zabiegi władzy około udaremnienia dalszej agitacyi — spełzły na niczem. Zawieszone we Lwowie wydawnictwo „Robotnika“ przeniesiono do Wiednia, skąd pismo to rozchodziło się po kraju w zdwojonej liczbie egzemplarzy, aż w końcu ponownie zaczęło się drukować we Lwowie.

Działalność partyi lwowskiej rozszerzona na kraj cały wywołała także żywy ruch między robotnikami w Krakowie, gdzie w styczniu 1892 r. rozpoczęto wydawać czasopismo „Naprzód“. Kongres partyi socyalnodemokratycznej austryackiej w Wiedniu między członków swoich liczył także sześciu delegatów ze Lwowa, Krakowa i Nowego Sącza. Na międzynarodowym kongresie socyalistycznym w Brukseli w r. 1891 utworzyli delegaci socyalistów polskich z pod trzech zaborów jednę wspólną delegacyę polską „w interesie rozwoju socyalizmu w Polsce i w interesie międzynarodowej polityki socyalistycznej“. (Rapport de la délégation polonaise présenté au congrès international de Bruxelles en 1891). „Kongres brukselski był pierwszym krokiem do rzeczywistego porozumienia się socyalistów polskich z pod wszystkich trzech zaborów„.

W obec tych widomych oznak rozwoju partyi socyalistycznej w Galicyi — zapragnęli przy-

wódzcy ruchu obliczyć się z siłami i rezultatami działalności, oraz wytknąć plan wspólnej pracy. W tym celu zwołano pierwszy zjazd galicyjskiej socyalnej demokracyi na 31 stycznia 1893 do Lwowa. W zjeździe wzięło udział 47 delegatów z 12 miejscowości, a mianowicie: Lwowa, Krakowa, Tarnowa, Nowego Sącza, Stanisławowa, Stryja, Białej, Kołomyi, Cieszyna, Czerlan, Podgórza i Borysławia. Między delegatami z Krakowa znajdowali się dwaj reprezentanci młodzieży akademickiej. Obrady toczyły się przez trzy dni nad sprawami dotyczącemi bezpośrednio partyi. Porządek obrad wyczerpał kwestye organizacyi, prasy. taktyki i ustawodawstwa ochronnego dla robotników. Zaznaczono wyraźnie stanowisko partyi w obec kwestyi żydowskiej i ruskiej, oraz w obec chłopów, jako stanowisko *walki klas*, w której socyaliści mają prowadzić politykę samodzielną. Uchwalono przedłożyć na ogólnym kongresie austryackiej demokracyi socyalnej wniosek o utworzenie instytucyi mężów zaufania, którzy mieliby kierować i zarządzać sprawami partyi. Wniosek ten kongres wiedeński w r. 1892 uchwalił, przyjąwszy podział partyi na grupy, według obszarów językowych. W sprawie żydowskiej uchwalono: „Jest obowiązkiem towarzyszy i organizacyi partyjnych, starać się usilnie o wzbudzenie i popieranie politycznej walki klasowej wśród żydów. Partya uznaje wszelkie inne środki rozwiązania „kwestyi żydowskiej za obojętne dla niej i widzi w organizowaniu się i uświadomieniu politycznem proleteryatu żydowskiego jedyną skuteczną drogę do wyzwolenia tegoż proleteryatu.“

Pisma „Robotnik“, „Pracę“ i „Naprzód“ uznano za organa oficyalne partyi i uchwalono rozpocząć wydawnictwo organu żargonowego dla robotników żydowskich p. t. „Der Arbeiter“. Na miejsce „Pracy“, której redaktor przeszedł potem do obozu t. zw. niezawisłych i wykluczonym został z partyi socyalnodemokratycznej założono dwutygodnik „Siłę“.

Zjazd lwowski przyczynił się ogromnie do wzmożenia się wpływów partyi socyalnodemokratycznej. Zwołany w roku 1892 do Lwowa „wiec kobiet“ pozostawał pod niezaprzeczonym jej wpływem. Silna organizacya partyi umożliwiła urządzenie strejku robotników żydowskich w Kołomyi (tkaczy), który pochłonął 900 złr. w. a.

Rok 1893 rozpoczął się od ciągłych i srogich prześladowań, których ofiarą padały wybitniejsze jednostki w partyi. W miejsce zawieszonych przez władze policyjne pism „Robotnik“ i „Siła“ rozpoczęto wydawać „Nowego Robotnika“; na miejsce aresztowanych agitatorów zjawiały się całe legiony zapalonych ochotników i działalność partyi nie ustawała ani na chwilę. Pomyślnie dla podsądnych zakończone procesy socyalistyczne przyczyniały się znakomicie do rozszerzenia rozciągłości partyi; kongres zwołany do Krakowa na 25 i 27 marca odbył się mimo zakazu i rozwiązania przez policyą, a święto robotnicze 1go maja wypadło jeszcze okazalej niż za lat poprzednich. Nadzwyczajną wytrwałością i solidarnością zdołali socyaliści galicyjscy przekonać władzę, iż represaliami zgnieść się nie dadzą.

Groźniejszym zdawało się być szkopułem dla partyi opozycya t. zw. niezawisłych we Lwowie, którym taktyka partyi socyalnodemokratycznej zdała się być „wyzutą z wszelkiej rewolucyjności“, a organizacya wsteczną i filisterską. Atoli i tę przeszkodę usunęła partya zwycięsko, zdoławszy zatrzymać przy sobie robotników żydowskich, którzy stanowili główną siłę „niezawisłych“, pozbawiwszy ich w ten sposób szerszego oparcia.

Do walki z socyalistami wystąpili w Krakowie Jezuici, którzy na zgromadzeniach robotniczych zabierali głos i dyskutowali z prowodyrami socyalistycznymi. Walka ta zainteresowała szerokie koła publiczności, zaznajamiając ją bliżej z postulatami socyalizmu.

Ruch cały zaczynał nabierać szerszych podstaw. Strejki zakończane zwycięztwem robotników wzmocniły solidarność partyjną. Udział w kongresach partyi zagranicznych wzmacniał węzły, łączące z niemi partyą galicyjską, która organizacyę swoją rozszerzyła na Śląsk i Bukowinę, znajdując wszędzie grunt podatny dla siebie.

Kongres zurychski, odbyty w dniach 6-12 1893 sierpnia tę dał socyalistom polskim sposobność zaznaczania stanowiska swojego w obec mocarstw zaborczych w oświadczeniu, iż odzyskanie niepodległości narodowej jest postulatem socyalizmu polskiego.

Najsilniej poruszył atoli partyę galicyjską, podobnież jak całą partyę socyalno-demokratyczną w Austryi, projekt reformy wyborczej Taaffego. Na kongresie ogólno austryackim odbytym w Wiedniu w dniach 24—31 marca 1894 reprezentowało Galicyę pięciu delegatów, którzy głosowali z większością za przyjęciem rezolucyi, grożącej urządzeniem „strejku masowego“ na wypadek, gdyby nie zaprowadzono powszechnego prawa wyborczego dla klasy robotniczej. Na kongresie tym wystąpili też delegaci galicyjscy z ostrą krytyką postępowania władz rządowych w Galicyi, prześladujących wszystkich zwolenników partyi i wykazali przy tem, że prześladowania te zamiast osłabić wzmacniają energię socyalistów galicyjskich. Dowodem tego był istotnie wzrost liczby stowarzyszeń socyalistycznych.

Hasło reformy wyborczej stało się odtąd główną dewizą agitacyjną dla socyalnej demokracyi austryackiej w ogóle, a galicyjskiej w szczególności. Ruchliwa działalność partyi galicyjskiej nie ogranicza się na zwoływaniu częstych zgromadzeń, na których rozstrząsanem bywa położenie i uprawnienie polityczne ludności robotniczej w Austryi. Demonstracye urządzane „na cześć“ powszechnego prawa wyborczego przybierają nierzadko imponujące rozmiary; a niezłomna wytrwałość w ich urządzaniu odbiera władzom broń przeciwko rządzącym. Krwawe starcie między robotnikami, a policyą do którego doszło dnia 14 października 1894 roku w Krakowie nie wpłynęło bynajmniej uspakajająco na masy, które jak dotąd tak i nadal urządzają pochody zarówno w Krakowie, jak i we Lwowie i po innych miastach galicyjskich.

Pod hasłem wywalczenia prawa wyborczego jednoczy się partya socyalnodemokratyczna w Galicyi z partyą ludową i drobno mieszczaństwem, a walka ta o prawo głosowania przybierając coraz szersze rozmiary, przyczynia się zarazem do coraz większego rozwoju partyi.

Od stycznia 1895 posiada partya socyalnodemokratyczna w Galicyi cztery organa swoje, a mianowicie: tygodnik „Naprzód“ w Krakowie, redagowany bardzo starannie i umiejętnie, wychodzące 3 razy na miesiąc pismo „Nowy Robotnik“, dwutygodnik żargonowy „Arbeiter“ i miesięcznik naukowy „Światło“ we Lwowie. Nadto może się galicyjska partya socyalno-demokratyczna wykazać już całym szeregiem broszur, rozpraw i utworów beletrystycznych, wydawanych w znacznej liczbie egzemplarzy i rozchodzących się szybko pomiędzy ludnością robotniczą. Znajdują się pomiędzy niemi prace dotyczące zarówno spraw ekonomicznych, jak i literatury i sztuki, co bądź, co bądź, świadczy o pewnym wyższym poziomie umysłowym rzeszy robotniczej, zaliczającej się do partyi socyalno-demokratycznej w Galicyi.

W obec tego dziwną wydaje się obojętność, z jaką ogół dziennikarstwa galicyjskiego odnosi się do ruchu, ogarniającego szerokie koła ludności. Sądząc po artykułach, zjawiających się tu i owdzie w pismach galicyjskich, zdawaćby się mogło, iż socyalni demokraci galicyjscy są garstką niezorganizowanych marzycieli, z którymi liczyć się ani potrzeba, ani... wypada.

Wyjątek pod tym względem stanowią jedynie organa jezuitów t. j. wychodzący w Krakowie „Przegląd powszechny“ i lwowska „Gazeta kościelna“, którym przyznać należy, iż z pewną znajomością rzeczy zapatrują się na rozwój socyalnego ruchu w Galicyi i *ze swego stanowiska* słusznie go oceniają. Artykuły o socyalizmie galicyjskim, pomieszczane w obu tych pismach posłużyć mogą — po oczyszczeniu ich z naleciałości tendencyjnych — za źródło informacyi dla przyszłego badacza stosunków robotniczych galicyjskich; pisarze bowiem jezuiccy umieją szeregować fakta, nadając im jedynie niewłaściwą barwę.

W szkicu powyższym, opartym na materyale zebranym w ciągu kilku lat galicyjskich ruchów robotniczych, starałem się *sine ira et studio* przedstawić rozwój idei socyalistycznej w Galicyi w najogólniejszych zarysach, w nadziei, iż to może sprostuje niejedną mylną lub przesadzoną wiadomość kolportowaną o ruchu robotniczym w Galicyi przez pewne dzienniki i pisma i przyczyni się do zrozumienia właściwych jego dążeń.

Dla tych, którym nieobojętną jest sprawa rozwoju społecznego Galicyi — szkic ten posłuży może za zachętę do bliższego zapoznania się ze stosunkami, wśród których ruch robotniczy mógł tak szybko i tak potężnie się rozwinąć na swojskim gruncie.

Dr. Ignacy Suesser.

KRONIKA BERLIŃSKA.

D. 1 kwietnia.

(*Farsy bez końca. — Kobiety w uniwersytecie.*)

Na domach powiewają liczne chorągwie, na dachach palą się czerwone pochodnie, w oknach jarzą się tysiące świateł, tłum nieprzeliczony pieszo i w powozach snuje się po ulicy, rozradowany, rozbawiony, wesoły i szczęśliwy, w wystawach sklepów tysiączne popiersia i podobizny bohatera dnia, — to rocznica osmdziesięcioletnich urodzin Bismarka. Tryumfator powinienby we własnym interesie wkrótce oczy zamknąć lub zupełnie usunąć się z widowni, bo jakże mu przykro będzie przeżyć własną sławę! A jednak to nastąpić musi! Marx w jednej z historycznych swych rozprawek (Napoleon II) powiada, że wszelkie wypadki dziejowe powtarzają się dwa razy: pierwszy raz są poważnem zdarzeniem, drugi farsą. Trudno nie dojrzeć farsy w tej apoteozie bezsilnego starca, który nie występuje jako wspomnienie i przeszłość szronem pokryta, ale jako znów do życia powołany przedstawiciel militarnych ideałów niemieckich. Cesarz pozdrawiał go jako bohatera wojskowego, ludność widzi w nim przedstawiciela i założyciela potęgi i siły państwowej, ale trzeźwo patrzący obserwator dojrzy w tem przedewszystkiem brak ideałów nowych i nowych ludzi, którzyby entuzyazm wzbudzali. Istotnie dzisiajszy rząd wziął sobie za zadanie odbudować wszystko, co przed laty kilku obalał, a więc pozbawiwszy Bismarka władzy, apoteozuje nietylko jego osobę, ale jego program, ideały społeczne, dążności. Zniósłszy na początku panowania wyjątkowe prawa przeciw socyalistom, dziś ten sam rząd forsuje przeprowadzenie antyanarchicznej ustawy, która tem różnić się będzie od pierwszej, że wyjątek uczyni regułą, zamiast prześladować jedną partyę polityczną, smagać będzie biczem ciężkiej odpowiedzialności sądowej wszystkich, którzy jakiekolwiek dążenie do swobody, postępu i zmiany wykażą. To istotnie farsa, ale farsa o tragicznym zakroju. Na farsę zakrawa owo piętnowanie parlamentu dla tego, że urzędownie do owacyi dla Bismarka przyłączyć się nie chciał, na farsę również, gdy „Staatsanzeiger“ grozi, że owo ciało, przedstawiające naród, zamkniętem być powinno, skoro tak niewdzięcznem i — dodajmy — opornem dla woli sfer wyższych się okazało, na farsę wreszcie, gdy jeden prezydent (von Levetzow) widzi się zmuszonym do ustąpienia ze stanowiska z powodu, że upadł jego wniosek uczczenia Bismarka, a drugi (von Buol), członek opozycyi, otrzymuje urzędowe zaproszenie na obiad wydawany w tym celu. Tragedyą jest przecież, gdy lud porwać się daje owej apoteozie brutalnej siły, gdy większość prasy staje po stronie rządu, gdy podnoszą się poważne i światłe głosy za antyanarchiczną ustawą, gdy ona dziś ma wszelkie prawdopodobieństwo przejścia.

I to wszystko w Berlinie, w tym Berlinie, który tak samo chce być sercem i mózgiem czterdziestomilionowego państwa, jak Paryż jest centrem życia Francyi. Ale Paryż powstał tradycyą ruchów, a więc i życia ludowego, świadczy o tem każdy plac, każda ulica, każdy niemal pomnik, tymczasem Berlin — to obszerne ko-

szary wojskowe, które ideały swobody, sztuki, wiedzy poddają pod strychulec militaryzmu.

Do tej niemiłej ilustracyi wstecznictwa dodam słów parę więcej pocieszających. Kobiety tutajsze wywalczają sobie po trochu prawo studyów uniwersyteckich. Obecnie przyjmowane być mogą jako hospitantki na mocy specyalnego pozwolenia rektora, wykładających profesorów i ministra. Jest to wyjątek, ale wyjątek zrobiony już dla sześciu, a trudno nie przewidywać, że wkrótce otrzymają pozwolenie imatrykulowania się wraz z prawami rzeczywistych studentek. Po bibliotekach pracuje też ich kilka; w t. zw. Humboldt-Akademie, o której innym razem, wykłada jedna docentka Dr. Agnieszka Blum, której kurs hygieny kobiet taką cieszył się popularnością, że go w dwóch częściach miasta powtarzać musiała.

S. Z. D.

Z estrady i sceny.

(*Harde dusze. Sztuka w 5 aktach Zygmunta Sarneckiego*).

Nie lubię dramatyzowanych powieści, bo w literaturze swojskiej i obcej mało znam utworów, w których z nowellistycznego materyału udało się zbudować prawidłowe rusztowanie sceniczne. Epiczne żywioły powieściowej twórczości, swoboda w cieniowaniu najzawilszych typów, szeroka dziedzina epizodyczności, autorskie „ja“ ciceronujące w galeryi bohaterów i krętych krużgankach stosunków, — wszysto to wita autora dramatycznego jakiemś donośnem „*Noli me tangere*“. Z odmiennych warunków tworzenia wynika odmienność tematów i zawikłań. Myśl autora dramatycznego i myśl powieściopisarza w innym pracują kierunku, inaczej nastroić, szukać i rozwijać się muszą. Powieść i dramat, to dwie odrębne atmosfery, i rzadko tylko kwiat, co życiem bujnem i pełnem w pierwszej zakwita, zachowa barwę i zapach, gdy ręka ogrodnika w obce przeniesie go strony. W dolinach Szyrazu wdzięczą się róże szkarłatne, lecz gdy je wydrzesz z słonecznych nizin i na wysokie, groźne urwiska przesadzisz, zwiędną niebogie.

Powiedziałem, że znam mało udramatyzowanych powieści, które w scenicznej transkrypcyi wznoszą się na wyżyny artyzmu. Może „Właściciel Kuźnic“, może „Sprawa Clémenceau“ stanowią szczęśliwy wyjątek, ale po za tem sterczy szary tłum nikłych jednodniówek, — całe kolekcye figur przybranych w za długie, za obszerne szaty, lub wątłych ułamków żywych postaci i stosunków. Cóż pozostało w dramatycznej metamorfuzie z cyklu romansów historycznych Sienkiewicza? Kilka niezręcznie zlutowanych obrazków, kilka dowcipów wielkiego mistrza, kilka okruszyn z wspaniałej biesiady, którą zgotował czytelnikom największy talent bieżącej literatury polskiej. Tylko z uczuciem niesmaku i żalu spoglądało się na *torso* pierwszorzędnych utworów powieściowych, — na tego amputowanego i w gorset sceneryi wciśniętego Sienkiewicza.

Nie myślę bynajmniej łączyć znakiem równania owych smutnej pamięci bomb teatralnych z najświeższą pracą p. *Sarneckiego*, osnutą według powieści Orzeszkowej p. t. „*Bene nati*“. Sarnecki nie jest pospolitym fabrykantem, chwytającym w lot głośniejsze romanse, by niemi uszczęśliwić scenę i na tantyemy autorskie przetopić.

Silniejszego indywidualizmu nie ma w krakowskim pisarzu i nie ma w nim talentu o dyamentowym blasku i czystości, ale w utworach jego przebija bądź co bądź czucie poetyczne i zdolność artystycznej inwencyi. Technika natomiast stanowi często Achillesową piętę kreacyi galicyjskiego autora, lubo długoletnia rutyna jego i zażyłe stosunki z sceną uprawniać by mogły poniekąd do przeciwnych przypuszczeń. W „Hardych duszach“ szukałem napróżno wirtuoza formy i żałowałem szczerze, że niebieski ołówek pana reżysera spoczywał nieruchomie w kieszeni surduta, zamiast spacerować po długich alejach manuskryptu smucąc autora, lecz ratując sztukę. Jakaż to n. p. śliczna scena, gdy Aurelka z jękiem boleści klęka przed obrazem Matki Boskiej, a w koło cisza nocna i tylko jęk, ten jęk wielki słychać. Gdyby kurtyna zapadła w tej chwili, płakałaby jeszcze długo w duszach słuchaczy melodya bólu, lecz cóż? autor wprowadza ojca ze świecą i długi niepotrzebny dyalog, który płoszy poezyą i psuje wrażenie. Ołówek reżyserski przydałby się również w rodzajowych scenach aktu drugiego i czwartego. Tu uwydatniają się jaskrawo powieściowe żywioły sobotniej premiery, — najpiękniejsze stronnice *Orzeszkowej* wiodą na manowce p. *Sarneckiego*. Krakowski autor rozkochał się w cudownej epice powieści i przeniósł ją żywcem na scenę, ale ta epika staje się kajdanami akcyi, mimo oryginalnej, nieznanej w literaturze dramatycznej, atmosfery szlacheckiej zagrody. Nie wykluczam bynajmniej z sztuki dramatycznej obrazowego *genre*, ale lękam się, gdy ręka drugorzędnych techników rzuca go na kanwy sceniczne, — lękam się balastu ornamentyki, psującej fasadę utworu.

Z większem powodzeniem odbyło się przeniesienie bohaterów Orzeszkowej w świat kulis i kinkietów. Utraciły one mało na wewnętrznej prawdzie i nie rozpływają się w kształtach zamglonych. Jeden może *Chutko*, „cham“ inteligentny, co bez autonatów ujrzał świat ten boży i zdobywszy uczciwą pracą urząd leśniczego w dobrach książęcych, nie wstydzi się chłopskich rodziców, — nieco szablonowo o przytępionych konturach snuje się po scenie. A przecież ta postać piękną jest w powieści i tak żywą, tak krwi i siły pełną, że należało ją starannie indywidualizować i na pierwszy plan wyprowadzić. I trochę suchy jest ów Gabryś zadumany, co róże sadzi, gołębie chowa i na skrzypkach grywa. Tak mi poezya tej prześlicznej postaci zbladła w scenicznej przeróbce, tak mi te skrzypki przycichły i róże opadły...

Lecz za to z uczuciem artystycznego zadowolenia spoglądałem na głowę rodu *Osipowiczów*, — na twardego przedstawiciela szaraczkowej drużyny szlacheckiej. Jakaś ciasna zaciętość i pycha, jakieś połączenie chłopskiego utylitaryzmu z szlachecką dobrodusznością wionęło ku mnie i rozwidniło mi duszę tej ginącej zagrody, ostatnich szczątków wielkiej niegdyś kasty, przechowującej w coraz ciaśniejszem kółku dawne typy, charakter, zwyczaje i przesądy. Udało się panu Sarneckiemu stworzyć atmosferę szaraczkowych zaścianków, lubo, powtarzam raz jeszcze, obfitością nużących szczegółów, obniżył dramatyczną wartość utworu.

Równe zalety posiada szlachecka strzecha *Kuleszy*, reprezentanta szlachty postępowej, który w herbowej koronie nie upatruje wartomierza człowieka i z tradycyi dziejowej przechował serce, ciepło domowego ogniska i honor, nie zatarasowawszy bram swego domu przed duchem czasu. Pokutują tam jeszcze dawne przesądy, w sercu starej, ograniczonej szlachcianki, — świetnego typu głupiej, potulnej, pracowitej gospodyni, lecz królem wiejskiego dworku jest sam Kulesza, rozumny, uczciwy ziemianin... W rysunku tej właśnie postaci święci artyzm pana Sarneckiego tryumf prawdziwy, bo zapożyczył on z powieści Orzeszkowej najwłaściwsze, najcharakterystyczniejsze znamiona i odsłonił bez nadmiaru drobiazgów duszę bohatera swojego do głębi. Gdy sędziwy Kulesza w subtelnem zrozumieniu duszy ludzkiej, tulić się nie stara rozgoryczonego Chutki zdawkową pociechą i z słowem perswazyi czeka spokojnie aż ból pierwszy minie, — gdy głupotę i beztakt małżonki swojej leczy sztuczną groźbą rozwodu, — gdy potem „chamowi“ rękę własnej ofiaruje córki, — to cały człowiek staje tam na scenie, żywy i przejrzysty. I jakaś serdeczna poezya roztacza skrzydła białe nad tą cichą strzechą, — słychać ją w niemej skardze i modlitwie Aurelki, — słychać ją w szczebiocie figlarnej trzpiotki, która fruwa jak ptak po scenie, a gdy modre oczęta zamruży, śni o strasznych dziwach i potworach. Główna bohaterka dramatu, Salusia Osipowiczówna, wywiera wrażenie czegoś niedopowiedzianego, jakiegoś szkicu, któremu barw i cieni potrzeba do bujnego życia. Mimo to jednak wieje z tej postaci, targającej żelazne pręty klatki rodzinnej, jakiś wielki indywidualizm i wielka tragedya duszy. Żal mi tylko, że autor wbrew orginałowi, zamienia ją w „Halkę“ Moniuszki i topi w dzień ślubu pod oknami kochanka. Jest w tem zakończeniu „Hardych dusz“ szablon widoczny i brak nieco prawdy sytuacyjnej. Szkoda zaiste, że „Gabryś“ Sarneckiego nie słucha podszeptów Elizy Orzeszkowej, szkoda, że w stanowczej chwili nie bierze na ręce ukochanej dziewczyny i nie zanosi jej do cichego domku, gdzie róże woń sączą, gołębie gruchają i skrzypki dźwięczą tak smutnie...

Wystawa sobotniej premiery odznaczała się rażącym brakiem staranności. Nie chcę rozstrzygać, czy istotne niedbalstwo, czy fałszywe pojęcie utworu spowodowało to niestosowne urządzenie sceny i błędną charakterystykę niektórych typów, — stwierdzam tylko fakt, że zatarto zewnętrzne znamiona zaścianka i nie odgraniczono dostatecznie dwóch światów: dworu i zagrody. Niepewność w zbiorowych sytuacyach i rozpaczliwe wysiłki suflera przestały już razić publiczność poznańską, bo oko i ucho przywykło do karykatury — chronicznej.

Z artystów występujących należą się wyrazy gorącego uznania p. *Skirmuntowi* w roli *Konstantego Osipowicza*. Była to postać mistrzowska pod względem zewnętrznej i wewnętrznej prawdy, — rozumnie pojęta, wycieniowana starannie i konsekwentnie przeprowadzona. Gra panny *Wróblewskiej* w roli Salusi i pani *Majdrowiczowej* w roli Aurelki zalecała się szeregiem szczęśliwych momentów, a pierwsza mianowicie w tragicznej walce z rodziną rozwinęła wiele szczerości i siły. Tylko w przedśmiertnej scenie grał mi znowu w uszach ten dźwięk fałszywego uczucia... Kończąc pobieżną ocenę, zapisuję jeszcze nazwisko panny *Zimajer*, rozszczebiotanej i w żywe srebro przetopionej trzpiotki, — pana *Trapszy*, zdobywającego sobie nowe wawrzyny w charakterystyce o poważnym stylu i — pani *Królikowskiej* oraz *Trapszowej*, które wniknęły w intencye autora i rysy właściwe dla typów swoich znalazły. Pan *Sosnowski* w roli Chutki nie uwydatnił twardych akcentów chamskiego dziecka, a pan *Rapacki* skąpał postać Cydzika w atmosferze farsowej. Śliczną natomiast parę całujących się bezustannie małżonków stworzyli p. *Knapczyński* i pani *Jakubowska*. Rola nie trudna, zadanie rozkoszne!

Władysław Rabski.

Koncert

filharmonijnego Towarzystwa w Poznaniu na sali Lamberta dnia 28 marca rb.

W poznańskiem życiu muzycznem ważne zajmuje miejsce Towarzystwo filharmonijne, założone przed kilku laty przez prawdziwych miłośników muzyki, a pozostające dotąd pod sprężystą dyrekcyą prof. Henniga. Początkowo posiadało Towarzystwo własną orkiestrę, złożoną z wybitnych amatorów poznańskich i dzielniejszych sił tutajszych kapeli wojskowych. Orkiestra ta występowała po kilka razy z powodzeniem w koncertach, urządzonych staraniem Towarzystwa, jak również w połączeniu z chórami Towarzystwa śpiewu pod dyrekcyą prof. Henniga, stawiając sobie za zadanie zapoznanie publiczności naszego grodu z wybitnemi utworami tak orkiestrowej jak i wokalno-instrumentalnej literatury. Później z powodu różnych nieporozumień i trudności technicznych widział się dyrygent zmuszony orkiestrę rozwiązać i w miejsce to zaangażować orkiestrę koncertową z Wrocławia. Ale działalność i zadanie Towarzystwa nie ograniczało się jedynie na zapoznawaniu lubowników muzyki z literaturą orkiestrową, ile raczej z muzyką kameralną, tak mało jeszcze u nas uprawianą. By temu zadaniu sprostać, angażuje Towarzystwo wybitne zamiejscowe stowarzyszenia kameralne. W ostatnim koncercie usłyszeliśmy więc dzielne *Trio*: *Jedliczka - Zajic - Grünfeld*. Dwóch ostatnich artystów znałem z przeszłorocznego występu w Poznaniu, za to pianista Dr. Jedliczka był dla Poznania „homo novus“. Sympatyczne wrażenie wywarła gra tego artysty na mnie. Powaga i spokój, z jakim przeprowa-

dził wybitną swą partyę w Trio es-dur Schuberta, świadczyło wymownie o wysokich wrodzonych zdolnościach i gruntownych studyach artysty. Kompozycya, grzesząca przy wielkiem bogactwie cudnych melodyj, z któremi autorowi samemu trudno się rozstać, rozwlekłością pojedyńczych części, wymaga nadzwyczaj ożywionej i barwnej interpretacyi, jeśli nie ma słuchaczy nużyć.

Temi zaletami odznaczało się też wykonanie Tria; wszędzie panowała nadto rzadka zgodność i karność, świadcząca o zgraniu się należytem pojedyńczych wykonawców. Główny temat w Andante wyśpiewała wiolonczela z całą rzewnością właściwą temu instrumentowi. Na tle tego tematu potęguje się ekspresya stopniowo do iście dramatycznych akcentów i rozbrzmiewa potęgą orkiestrowych efektów, nie przekraczając nigdy granic piękna. Pełne życia i humoru Scherzo odegrali artyści z wszelką finezyą i werwą a wykonanie pierwszej części utworu, rozlewającej się szeroko, głęboka liryka we wszystkich głosach, mimo niezwykłej długości, trzymało uwagę słuchaczy do ostatniej nuty na uwięzi. Po ukończeniu świetnego Finale grzmiącemi oklaskami i wywoływaniami dziękowali słuchacze za dzielną reprodukcyą pięknego utworu. Solo wykonał p. Jedliczka 2 preludya Chopina: c-moll i des-dur i X Rapsodyę Liszta. Uderzenie posiada artysta jędrne a śpiewne, w grze rozdzielone wszędzie światło i cienie umiejętnie, pasaże tryskają życiem a wszystko to tak harmonijnie wykończone, całość tak zaokrąglona i niewymuszona, wszędzie tak zachowana miara w ekspresyi, że produkcye pianisty na niejednego słuchacza, gustującego więcej w erupcyjnych wylewach uczucia, niż w miarowem rozwijaniu się, robią może wrażenie akademickich studyi. Szlachetna, pełna umiarkowania i wysokiej inteligencyi gra p. Jedliczka i ta, dla mnie nadzwyczaj sympatyczna powaga, powstająca wprost z traktowania sztuki na seryo, podbija jednak od razu uważnego i nie uprzedzonego słuchacza, pozostawiając trwałe wrażenie. Skrzypek-solista p. Florian Zajic odegrał sławną Ciaccone Bacha. Utwór pisany na skrzypce same, we formie waryacyi na temat staroświeckiego tańca, jest nieprześcignionym wzorem polifonicznych kombinacyi, które swą genialną pomysłowością i polotem pełnym swobody w podziw każdego wprowadzić muszą.

Niewyczerpane bogactwo różnych figur, fantastycznie powiązanych, arpedżyi, efektów polifonicznych, gdzie melodya, jak nić czerwona wije się między akordami głównego tematu, wymaga skończonego mistrza we władaniu smyczkiem, jeżeli te prawdziwe łamigłówki gry skrzypcowej jasno z pod smyczka wyjść i do słuchacza zrozumiale przemówić mają. Ogólne brawo oczarowanych do najwyższego stopnia słuchaczy, jakiem obdarzyli artystę po wykonaniu Ciaccony najlepiej świadczy o wysokiem mistrzostwie gry jego na skrzypcach. Jeżeli tu z przyjemnością podnieść muszę nadto pojęcie i wykonanie Ciaccony Bacha wiernie w duchu autora, to brak właśnie stylu we wykonaniu Aryi tegoż kompozytora na wiolonczeli przez p. Grünfelda raził estetycznie wykształconego muzyka. P. Grünfeld przedstawił nam Bacha we fraku i białym krawacie, zwykłego salonowca wychowanego w chorobliwej atmosferze naszych buduarów. Powagi i tej zdrowej prostoty, która i z najmniejszego utworu wielkiego niemieckiego organisty-kompozytora bije, nie czułeś! Nie znalazłem też różnicy w oddaniu sentymentalnego drobiazgu „*Madrigale*“ Simonettiego a pełnej powagi Aryi Bacha. Za to za barwne i pełne werwy wykonanie hiszpańskiego tańca Poppera należy się artyście wszelkie uznanie.

W koncercie wzięła nadto udział śpiewaczka p. Jadwiga Bernhardt i wykonała kilka pieśni: Schuberta, Brahmsa, d'Alberta i innych autorów; głębszego wrażenia śpiewem swym nie zdołała jednak wywrzeć. Średnica głosu posiada wprawdzie pewną miękkość, niższe za to tony nie mają wystarczającej pełni a wyższym brak zaokrąglenia. Mimo to zaznaczyć muszę, że w niektórych produkcyach, zwłaszcza w utworach o poważnym nastroju były momenta szczęśliwe, z których wnosić wolno, że głos ten w przyszłości przy odpowiednich studyach znacznie się rozwinie i spotęguje, a uczucie, podatniejszy znalazłszy materyał, wyraźniej i silniej do słuchacza przemówi.

Do śpiewu towarzyszył udatnie p. Hache.

Edwin Jahnke.

NA WYŁOMIE.

(*Ks. Laubitz contra prof. Rakowicz. Dyktatura. Kto decyduje? Piękne widoki. Insynuacya. Odczyt p. Puffkego*).

W ostatnich tygodniach rozegrała się w łamach „Kuryera“ i „Przeglądu Poznańskiego“ ciekawa polemika między ks. *Laubitzem* z Inowrocławia, a królewskim budowniczem prof. *Rakowiczem* z Poznania. Spornym przedmiotem była piękna ruina kościoła Panny Maryi w Kujawskich solankach, — imponujący zabytek architektury ubiegłych stuleci, — skamieniałe wspomnienie ojczyzny wolnej i niepodległej. Prowincyonalny Wandalizm zapragnął zniszczyć ten klejnot Inowrocławia, by w miejsce jego zbudować nową świątynię i byłaby tryumfowała ciasna filisterya, przenosząca słodkie oleodruki Martensa lub Thumana nad stare, uszkodzone i zczerniałe arcydzieła mistrzów renesansowych, gdyby rząd *pruski* w obronie *polskiej* nie stanął pamiątki. Pojawił się potem zamiar zużytkowania pewnych części ruiny dla budowy nowego kościoła, a gdy konserwator państwowy i temu zmodyfikowanemu Wandalizmowi odmówił uznania, upatrując w nowym projekcie niemal zupełne zniszczenie ruiny, wystąpił prof. *Rakowicz* z planem naszkicowanym w Nr. 9 „Przeglądu“, a salwującym przed zagładą drogocenny pomnik architektury XII wieku. Plan ten znalazł zapalonego przeciwnika w księdzu *Laubitzu*, fanatycznym szermierzu Wandalizmu naszego, i rozpoczęła się walka interesująca, — polemika charakterystyczna dla stosunków poznańskich. Wierny zadaniu feljetonisty pomijam stronę architektoniczną spornej materyi, nie poczuwając się zresztą do kompetencyi sądzenia projektu prof. *Rakowicza*, lubo historyi sztuki poświęcałem prawdopodobnie więcej czasu i trudów od ks. *Laubitza* i kochając piękno, szukałem go po świecie szerokiem. Mnie interesuje przedewszystkiem strona społeczna i etyczna tej Kuryerowo-Przeglądowej polemiki, — dziwne, znamiennych rysów pełne zapasy, — typowy przyczynek do historyi Księstwa.

Z jednej strony staje do walki fachowy, znany w dziedzinie literatury zawodowej architekt i składa na ołtarzu narodowych pamiątek plon myśli swojej, rezultat długich i poważnych studyów. Z drugiej strony zrywa się do boju młody dyletant, nie mający na usługi swoje ani wiedzy fachowej, ani nawet amatorskiego empiryzmu i uzbrojony w arsenał wolt dyalektycznych i łamańców zręcznych olśniewa fajerwerkami tłum czytelników, — pyszny, krzykliwy, pstry mędrzec kujawski. Naukę, doświadczenie argumentacyą zastępuje tu swada palestry, błyska wice stylu i jakieś sztuczne wydęcie własnej osoby do rozmiarów balonu, a dla zjednania sympatyi *Kuryerowych* czytelników wymachuje się suknią duchowną jako symbolem wszechwiedzy i przeciwstawia nauce powagę kapłańską. Posłuchajcie: „Przy zadaniach architektonicznych, mających służyć celom liturgicznym, ksiądz *w pierwszej linii* ma głos, zawsze doradczy, często *decydujący*.“ Tak mówi ksiądz Laubitz.

Ten „*głos w pierwszej linii*“, głos „*decydujący*“ rozbrzmiewa dzisiaj w wszystkich dziedzinach bytu społecznego, słychać go w polityce, w życiu towarzystw, w instytucyach naukowych, w Kole sejmowem, po wsiach i miasteczkach. Jest pewne stowarzyszenie czeladzi w Poznaniu, gdzie ksiądz pod tym jedynie warunkiem przyjął patronat, że uchwały, zatwierdzone wolą większości, lecz pozbawione *placet* patrona, stracą natychmiast moc obowiązującą. Po cóż więc głosowanie, po cóż forma parlamentaryzmu, jeżeli dyktator zasiada na tronie?!

Zboczyłem z drogi — to przywilej feljetonisty. Wracam do sztuki i nasłuchuję „*głosów w pierwszej linii*“, głosów „*decydujących*“ w architekturze kościelnej. Czarujące melodye! Bo czyż nie czaruje was ten poczciwy, serdeczny proboszcz wioskowy, zatopiony w brewiarzu, uczący dzieci katechizmu, siejący pszenicę i grający w wista, gdy nagle natchniony wskazówkami Kuryerowego polemisty poczuje w sobie geniusz architektury i przy sposobności komenderować zacznie fachowym architektom niby polierem.

— „Cóż tam pan budowniczy plecie mi o stylach, — ja znam się lepiej, bo ja ksiądz. Tu wprost ołtarza pragnę mieć okna wysokie i śpiczaste, jak to w kolońskim albumie widziałem i ładne witraże....“

— „Ależ księże proboszczu, to niepodobna, to zepsuje....“

— „Zepsuje, nie zepsuje. Ja się na tem znam i mam głos „decydujący“. A tu z tyłu postawimy dwie wieżyczki, żeby to suto wyglądało, będą się chłopy dziwować.“

— „Księże dobrodzieju, to w tych warunkach oszpeci....“

— „Ja „w pierwszej linii“ mam głos i „decyduję.“

Jeżeli ziarno rzucone przez ks. Laubitza przyjmie się na urodzajnej glebie ludzkiej zarozumiałości, to dyalogów podobnych doczekamy się może niebawem. Historya nowoczesnej architektury służy w tym względzie mnóstwem charakterystycznych przykładów, a przypominam tylko jeden fakt z dziejów renowacyi kościoła P. Maryi w Krakowie, przypominam owe „stalle“ zbudowane według recepty i komendy biskupa. Fachowa krytyka rzuciła grom potępienia na to chybione dzieło inspiracyi duchowej, które, stanowi poważne „Memento“ dla jutra sztuki kościelnej i mówi głośno, że w każdej architekturze, a więc i w takiej, która służy celom liturgicznym, nie ksiądz, lecz architekt posiada głos „decydujący“ i głos „w pierwszej linii“.

Ponieważ nie jestem architektem, więc nie zarzuci mi chyba ks. Laubitz, że kierują mną nizkie pobudki osobistej natury, — w obec prof. *Rakowicza* jednak nie waha się złożyć wymownego dowodu, że w kapłańskim kałamarzu jego obok chrześcijańskich formułek znajduje się również petarda *insynuacyi*. Broń ta ulubiona rewolwerowych dziennikarzy syczy i strzela w następującym okrzyku: „Chciał widocznie pan budowniczy uwagę społeczeństwa na siebie zwrócić i do usług się polecić“.

A więc nie miłość sztuki, nie kult dziejowych pomników kierowały panem *Rakowiczem*, lecz widoki zarobkowania, nadzieje materyalnych korzyści!! Cóżby powiedział *ks. Laubitz*, gdyby przeciwnik jego, atakowany tak szlachetną bronią, podobnej imał się metody i w następnym artykule ogłosił światu, że wikary inowrocławski jedynie dla tego bije na trwogę z armat i moździeży, bo wie, że *ks. arcybiskup* snuje *inne* plany architektoniczne i za sukurs dzielny gotów wikarego zamienić w proboszcza.., Niechaj mi ks. Laubitz wybaczy to gorzkie słowo prawdy, ale padałem sam tyle razy ofiarą najpotworniejszych insynuacyi i tyle razy widziałem ludzi o wielkiem i gorącem sercu, zbryzganych błotem ubliżających podejrzeń, ściągniętych w proch z wyżyn najidealniejszych, zniecheconych ludzką potwarzą w pracy dla bliźnich i ojczyzny, że metoda walki, przez niego obrana, w żółć mój atrament zamienia.

Głośny dyletantyzm, deklamujący obecnie w artykułach ks. Laubitza, krzewi się tak bujnie w społeczeństwie naszem, że głos rzeczywistej i głębszej nauki jest prawdziwą niespodzianką w tej ciasnej, jałowej i smutnej krainie. To też z radością nurka znajdującego wśród mnóstwa pospolitych ślimaków nareszcie muszlę perłową, powitałem wtorkowy odczyt p. *Kazimierza Puffkego*. Prelegent mówił „o kobiecie w dramacie współczesnym“, a słowa jego cechowała nietylko wiedza istotna, lecz to głębokie zrozumienie prądów nowożytnych, które dla Poznania są księgę kabalistyczną lub przeklętym trądem. P. Puffke nie mączył po dyletancku i nie przeklinał. Uchylił czoła przed potęgą Ibsena, nie lękając się Kuryerowego „anathema“, skruszył kopię za równouprawnieniem kobiet, nie bojąc się strażów całego legionu „stróżów tradycyi“, a gdy

„święte oburzenie“ rozpłomieniło gwardye wstecznikow, rzucił im słowo Augiera: „Prądy nie błądzą nigdy, a zatapiają głupców, którzy siłą się na zatamowanie ich biegu“.

Wśród dusznej atmosfery poznańskiej etyki i filozofii, zabrzmiał ten głos jak grom czyszczący powietrze, a ja chwilami doznawałem złudzenia, że jakiś Bóg dobrotliwy przeniósł mnie między innych ludzi i w inne stosunki, że z Poznania zajechałem do — Europy. I lubo żal czułem do prelegenta, że po macoszemu obszedł się z polską literaturą, że nam nic nie powiedział o „Pięknej“ Okońskiego, „Aspazyi“, „Lenie“, „Bawidełku“ i t. d. to wdzięcznym jednak byłem mu głęboko za to słowo rozumnej i duchem nowoczesnym owianej krytyki. Może się to wyda dziwne, że z takim naciskiem reklamuję odczyt, — sympatyczny drobiazg literacki, — muszkę jednodniówkę, — ale jest to właśnie charakterystyczne dla stosunków naszych, że to co w innych warunkach przyjąłbym lekkim ukłonem jako rzecz codzienną, u nas witać muszę jako zadziwiającą niespodziankę i wielkie zdarzenie. Więc wołam na całe gardło: „Brawo prelegentowi!“ Wy mi się nie dziwcie. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

W *Tygodniku ilustrowanym* F-z w kronice. „Z tygodnia na tydzień“ wspominając o urządzonej w Berlinie wystawie prac Daniela Chodowieckiego, tak pisze;

„Uprzejmość okazana przez Niemców polskiemu rytownikowi, byłaby godną najwyższego uznania, gdyby nie okazało się przytem, że u sąsiadów naszych trwa dotąd jeszcze dawne nieporozumienie co do narodowości Chodowieckiego. Chcę wierzyć, że powodem tego jest jedynie: nieznajomość pewnych, ostatecznie rozwiązujących tę sprawę faktów. Ani wątpię też, że chęć rozmyślnego fałszowania prawdy nie postała w umyśle Heine'go, który w przedmowie do niemieckiego tłomaczenia „Don Quixot'a“ napisał niegdyś (w r. 1837) co następuje: „Bardzo wielu artystów kusiło się o odtworzenie w rysunku postaci Cervantesowskiego bohatera, wszystkie jednak rysunki angielskie, hiszpańskie i francuskie, jakie dotąd widzieć mi się zdarzyło, były wprost ohydne. Co się tyczy artystów „niemieckich“, wspomnieć tu muszę o naszym wielkim Danielu Chodowieckim. On jeden doskonale „Dou Quixot'a zrozumiał..“ Poeta, szczery aż do okrucieństwa, a miłujący prawdę aż do heroizmu, nigdyby z pewnością owego kłamstwa nie napisał, gdyby wiedział był, że to kłamstwo. Do tego zaś wystarczyłaby mu znajomość dokumentu, który poniżej przytaczam, a który — raz jeszcze chcę w to wierzyć — obcy też być musi i dzisiejszym dziennikarzom berlińskim... Dokument ów, przechowujący się w „Bibliotece Jagiellońskiej“ w Krakowie wydrukowali już: Bandtkie w „Historyi drukarń“ i Rastawiecki w „Słowniku malarzy polskich“, ponieważ jednak są to dzieła, do których ogół nie zwykł zaglądać, powtórzyć go zatem raz jeszcze nie zaszkodzi. Otóż więc kwestyę narodowości Daniela Chodowieckiego rozstrzygnął sam Daniel Chodowiecki w następującym liście, pisanym do Józefa Łęgowskiego, profesora astronomii w Krakowie: „Kiedy WPan Dobrodziej zechce mię liczyć do Polaków, których rodzice w Niemczech osiedli, to mię krzywdzisz, bo tym sposobem nie byłbym Polakiem, lecz Niemcem; lecz ja sobie zaszczyt czynię być prawdziwym Polakiem, chociażem w Niemczech osiadł. Bartłomiej Chodowiecki był ziemianinem w Wielko-Polsce. Jego syn czwarty, Mateusz, urodzony z Krystyny Morawskiej w r. 1583, był dysydenckim księdzem w Żychlinie i ożenił się z Elżbietą Mozoniówną. Mateusz spłodził r. 1610 syna Jana, potem księdza w Toruniu, a żoną jego była Elżbieta Rychnowska. Tenże Jan spłodził w r. 1655 Krystyna, kupca w Gdańsku, za którym była Zofia de Gentinówna. Krystyan w r. 1698, także kupiec w Gdańsku, spłodził syna Godfryda, który się ożenił z Henryką Ayrer i w r. 1726 spłodził Daniela. Ten ja jestem, pierwszy z Chodowieckich, który opuściwszy Polskę, w Niemczech osiadł! Stąd widzisz, WPan Dobrodziej, żem prawdziwy Polak.“ Cóż dodać do tego? Chyba zwyczajem, przyjętym w dziennikarstwie, dopisać: „Uprasza się uczciwe pisma niemieckie o — powtórzenie.“

* * *

P. *Gabryela Zapolska* pomieściła w ostatnim numerze paryzkiego „La revue blanche“ artykuł o współczesnej literaturze polskiej p. t. „Lettres polonaises“. Praca autorki naszej zwróciła uwagę literatów i pism francuskich, z których kilka przytacza z niej wyjątki, a „Cocarde“ przedrukowuje nawet całą prawie. W jednym z następnych numerów „Revue blanche“ ma się ukazać nowela p. Zapolskiej p. t. „Le précurseur des ténebres“ (Goniec ciemności).

* * *

Gustaw Bioerklund. Pokój i rozbrojenie. Z upoważnienia autora tłomaczył K. I. R. Poznań 1895.

Streszczenie tej interesującej broszury zamieściliśmy przed kilku tygodniami. Dziś zatem poprzestajemy na podaniu do wiadomości publicznej, że sama książeczka ukazała się na pułkach księgarskich w tłomaczeniu wybornem, Styl jędrny, lekki i czysty świadczy wymownie, że za literami K. I. R. ukrywa się rutynowane pióro literackie, władające językiem pięknym i poprawnym. Przekład ten wyróżnia się korzystnie z całej powodzi tłomaczeń, pisanych gorączkowo na obstalunek i dokonanych często przez autorów, nie posiadających nawet znajomości prawideł stylu polskiego.

* * *

Nowe czasopisma. We Lwowie począł wychodzić pod redakcyją p. Ernesta Breitera tygodnik polityczno-literacki p. t. „Monitor“, o tendencjach demokratycznych. — W Krakowie ukazał się pierwszy numer tygodnika społeczno-literackiego p. t. „Przegląd Krakowski“. Redakcyę objął p. St Brandowski. — Otrzymaliśmy również numer okazowy wychodzącego we Lwowie „Koła“, czasopisma poświęconego sportowi bicyklowemu. Przedstawia się on tak zewnętrznie jak wewnętrznie suto i bardzo dodatnio. Jest to organ dwòch klubów cyklistów: krakowskiego i lwowskiego. — Dziwny to kraj, ta Galicya! Zdobyć się może na pisma poświęcone lubownictwu filatelistycznemu i cyklowemu; ba! posiada nawet — mimo swej okrzyczanej „nędzy galicyjskiej“ — stowarzyszenia, które łożą na ich publikacyę, a równocześnie, z uporem godnym lepszej sprawy, nie chce popierać czasopism literackich i artystycznych ani drogą prenumeraty, ani przez subwencye. A posiada aż dwa wielkie towarzystwa, poświęcone krzewieniu zamiłowania do sztuki! — Ci, co tak gorąco i zapamiętale kochają się w pojęciach, wyobrażeniach i dziełach zagranicznych, lekceważąc wszystko co swojskie i swoje, powinnni by sobie, przy pierwszej lepszej sposobności — ot n. p. patrząc na dwa pięknie i starannie redagowane dwutygodniki („Koło“ i „Filatelista“) — wypisać z Niemiec, Anglii lub Francyi parę dekagramów... zdrowej, niepolskiej logiki, ne! i przeczytać starą bajkę Lafontaine'a (nie polskiego mistrza) o „Żabie i koniu“.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Komitet wyborczy niemieckiego stronnictwa postępowego w Poznaniu zwołuje zebranie w sprawie ustawy przewrotowej na 16 b m — Nowe prezydyum parlamentu powitał cesarz Wilhelm II łaskawie podczas uczty, wydanej na cześć ks. Bismarcka. — Prezesem Towarzystwa przemysłowego w Poznaniu obrany został p dr Karchowski. — Poznańskie Towarzystwo „Sokół“ urządza publiczny obchód rocznicy majowej w dniu 2 maja. Wstępne przemówienie wygłosi p. dr. Rabski. Odczyt okolicznościowy wypowie p. Karol Rzepecki, redaktor „Gońca Wielkopolskiego“. — Na wniosek mecenasa Wolińskiego uchwaliła rada miejska w Poznaniu subwencye w wysokości 200 mr. dla muzeum Tow. Przyj. Nauk. — Ruch robotniczy w Belgii przybiera spokojniejszy charakter.

Teatr i muzyka. O losach trupy poznańskiej w czasie letnich miesięcy nie zapadła dotychczas stanowcza decyzya. Prawdopodobnem jest, że jedna część artystów uda się na prowincyę, a druga występować będzie gościnnie na scenach galicyjskich i w teatrach Królestwa Polskiego. — Lwowska publiczność przyjęła z zapałem premijowany utwór M. Wołowskiego p. t. „Towarzysz pancerny“. Na cześć autora odbył się bankiet w salonach Koła literackiego. — „Ciepła wdówka“ Bałuckiego doznała w Krakowie chłodnego przyjęcia. — Znana poznańskiej publiczności artystka dramatyczna p. Pankiewicz wystąpiła gościnnie na krakowskiej scenie. Kazimierz Ehrenberg, recenzent „Czasu“ krakowskiego, odmówił artystce wybitniejszego talentu, przyznał jednak znaczne zasoby rutyny teatralnej. — Cesaro Rossi, najznakomitszy tragik współczesny, pożegnał w Florencyi publiczność i usunął się do Sano, gdzie resztę życia przepędzi. — Została zatwierdzona budowa teatru w Kaliszu. — Gościnne występy Mieczysława Frenkla na poznańskiej scenie nie przyjdą do skutku. — Nowa opera Mascagniego. „Silvano“, wystawioną została w tych dniach na scenie teatru medjolańskiego La Scala. Powodzeniem cieszył się duet Silvana i Matyldy, który musiał być powtórzonym. Publiczność przywoływała kilkakrotnie Mascagniego, oraz tenora Delucia, który wprawił w zachwyt słuchaczy wykonaniem aryi lirycznej w drugim akcie. Publiczności podobał się też dosyć chór kobiet z aktu drugiego, po którego odśpiewaniu, przywołano pięciokrotnie Mascagniego. Znawcy utrzymują, iż w operze „Silvano“ powraca znów Mascagni do pełnej prostoty i melodyjności muzyki, jaką odznacza się „Cavalleria rusticana“. Krytyka jednak pism rzymskich przyjęła nieprzychylnie nowy utwór Mascagniego i opera upadła. — Opera Smetany pt. „Tajemnica“, którą wystawia opera wiedeńska, budzi wielkie zainteresowanie wśród melomanów. Smetana skomponował tę operę, będąc już zupełnie głuchym Na premierę zaproszono wdowę po kompozytorze i jego siostrę.

Fizyologia i muzyka. Lekarz amerykański, dr. Alfred Warthin, profesor uniwersytetu w Michigan, postanowił zbadać oddziaływanie fizyologiczne muzyki na organizm ludzki. Celem lepszego odosobnienia od wszelkiego wrażenia zewnętrznego osób, na których zamierzał zrobić eksperyment, uznał za stosowne wprowadzić je w stan hypnozy. Wybrał tedy pięciu mężczyzn i dwie kobiety, na których muzyka w warunkach normalnych nie wywierała zbytniego wrażenia, i zanim ich uśpił, suggestyonował im wolę zachowania po przebudzeniu pamięci otrzymanych wrażeń. Poczem zagrał im Wagnera. Przytoczymy tu obserwacye, dokonane na drze M., człowieku lat 40, gdy grano „Jazdę Walkiryi“: „Puls staje się od razu szybszy, pełniejszy; naprężenie wzmaga się, liczba uderzeń dochodzi do 120; poczem puls staje się bardzo szybki a naprężenie się zmniejsza. Jednocześnie oddech podnosi się od 18 do 30 na minutę, twarz wyraża wielkie wzburzenie, całe ciało okryte jest obfitym potem. Obudzone medium oświadcza, że nie odczuwało muzyki jako dźwięku, ale jako wrażenie ogólne, rodzaj podniecenia, wywołanego przez „szaloną jazdę w przestrzeni“. Dr. Warthin utrzymuje nadto, że dla wywołania stanu hypnotycznego nie ma lepszego środka nad muzykę. Jednego ze swoich medyów naprzykład nie mógł uspić inaczej, jak zapomocą „chóru pielgrzymów“ z „Tannhausera“, medium owo już przed piątym taktem spało. Dr. Warthin ogłosił ciekawe swoje obserwacye w „Annales de Psychiatrie“.

Zabobon XVII wieku. Przed kilku dniami przy demolowaniu starej rudery znaleziono we Lwowie w murze I. piętra wmurowaną kurę i koguta. Okazy podobne do mumii, były koloru popielatego. Kogut dość wielki miał zawiązany dziób suknem, a kura nogi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wmurowano je tam żywcem w r. 1606, a to dla odstraszenia nieczystych duchów.

Ku uczczeniu 400-setnej rocznicy śmierci Torquata Tassa przygotowują we Włoszech wielkie uroczystości. W Rzymie wystawiona będzie „Aminta“, z odnalezioną w Bolonii muzyką owej epoki. Profesor Solerti zaś wydaje trzytomową historyę życia poety, obejmującą jeszcze jego listy. Solerti dowodzi w dziele swojem, że ks. Eleonora Ferrary nie była piękną i że ani Tasso jej nigdy nie kochał ani ona jego.

Z teki aforyzmów

Jerzego Płońskiego.

Pierwsza miłość jak wulkan tryska z głębin pod niebiosa, roztaczając w około imponujący blask świetnych ogni, siejąc tysiącem złotych iskier, aby — wygasnąć, pozostawiając martwy krater. Ostatnia miłość to rzeka, która zwolna przerzyna kamienne gór zapory, aby cicho, wytrwale, z pożytkiem dla ludzi, płynąć do końca — życia.

—

Jeżeli polka czyta jasno w duszy męża i zna na wylot wartość jego i czynów pobudki, małżonek nabiera przekonania, że nie jest kochanym.

—

Wiele polek rozumuje sercem, a kocha rozumem.

—

Dwie są kategorye blagierów; jedni mamią innych, drudzy — siebie. Tych ostatnich przedewszystkiem należy unikać.

—

Dwie są kategorye pesymistów; dla jednych świat jest za dobrym, dla drugich — za złym. Pierwsi godni wzgardy, drudzy — miłości.

—

Źle jest kłamać, ale gorzej — mówić prawdę.

BIBLIOGRAFJA.

Stefan Komornicki Rzeź w Krożach. Lwów 1895 r.

Wincenty Rapacki (syn). Co mówi serce? Poznań 1895 r.

Józef Tretiak. Ignacy Krasicki jako prezydent trybunału. Kraków 1895 r.

T. T. Jeż. Żusia. Powieść współczesna w 3-ch częściach. Lwów 1895 r.

Odpowiedzi Redakcyi

P. Zofii. W dzisiejszym numerze znajdzie Pani obszerną recenzyę. Książki p. St. Tarnowskiego nie polecamy.

Exul. Nadesłanego utworu zamieścić nie możemy, mimo serdecznego współczucia, które budzi w nas nuta tęsknoty w rymach wygnańca.

Z. T. Mało interesuje czytelników „Przeglądu“, czy Marya kocha lub nie kocha, a przekonani jesteśmy, że Pańską miłość prędzej uwieńczy pomyślny rezultat, jeżeli prozą uczucia swoje wyśpiewasz.

Szczebiotka. Talent Pani zapowiada wiele i przekonani jesteśmy, że wkrótce szczebiot zamieni się w śpiew wspaniały. Prosimy o więcej utworów.

M. w Monachium. Z wydań „Heinego“ najlepsze jest wydanie Karpelesa z przedmową Buchheima.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Ludwik Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.